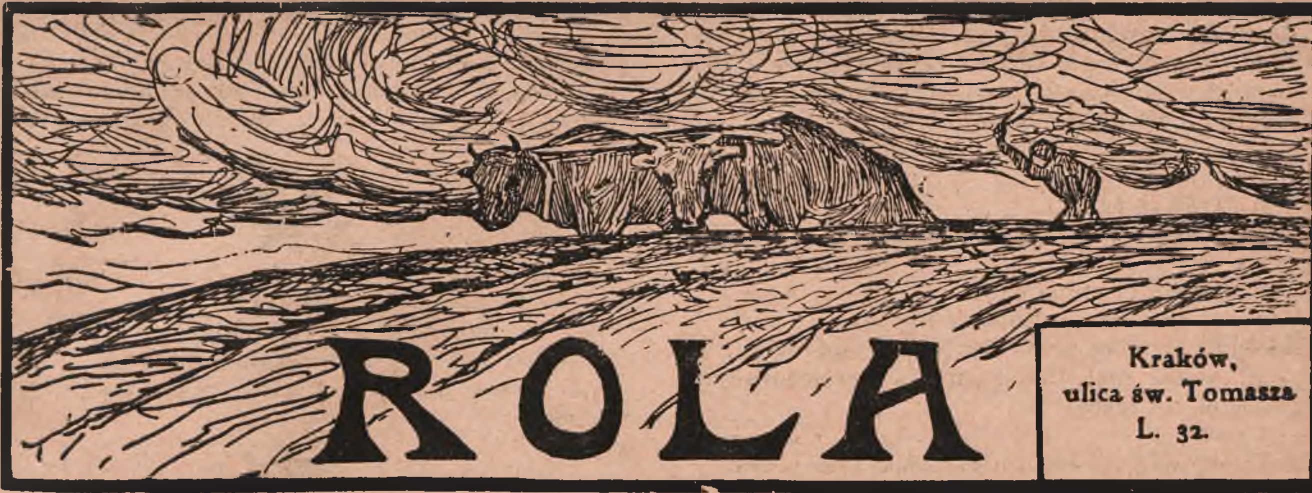
Numer 4. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 27 Stycznia 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Połapał się.

Mateusz wraca do wsi wyboistą drogą. Na wózku za nim siedzi jego żona. Wózek trzęsie się i podskakuje na kamieniach bez przerwy. Przy wjeździe do wioski Mateusz spotyka Tomasza.

— Dzień dobry, Mateuszu. Jak zdrowie?

— Dziękuję.

— A twoja żona?

— Moja żona?... Spytaj się jej. Siedzi przecież za mną.

— Przyśniła ci się pewnie.

Mateusz obraca się. Kobiety nie ma.

Namyśla się więc przez chwilę, aż nagle woła:

— O! wiem już! Przed chwilą przejeżdżaliśmy przez mostek na rzece.

— I co?

— Z tego więc powodu usłyszałem taki plusk.

Prawda.

Oficer do żołnierza: Co żołnierz winien jest swemu przełożonemu?

— Zwykle nic — odpowiedział żołnierz — bo od przełożonego trudno coś pożyczyć.

Czy nie?

Człek na jedno oko ślepy, więcej widzi niż ci, którzy patrzą dwoma, bo oni widzą dwoma jedno oko u niego, a on u nich jednem dwa.

Śpiewaczka i krytyk.

— Jak pan śmiał napisać taką krytykę! Pan, który jednego tonu nie potrafi zaśpiewać!

— Moja droga pani! Nie potrafię także znosić jaj a sądzę, że jednak lepiej na omlecie się znam niż kura.

Szczęśliwy.

— Ty możesz być szczęśliwy...

— Co? Ja? Przy tylu długach.

— Możesz być szczęśliwy, że nie jesteś swym wierzycielem.

Prawda.

Nauczyciel: — Owca daje nam wełnę, z której tkają sukno. Z czego zrobiona twoja kurtka, Józiu?

Uczeń: — Ze starego tatusiowego surduta.

Alibi.

— Dzisiaj w nocy włamano się do mego biura. Kasa rozpruta! Jestem zgubiony!

— Ile było w kasie.

— Ani grosza. Ale powiedziałem żonie, że nocowałem dziś w biurze.

Numer 4. Rok XII. Kraków, dnia 27 Stycznia 1929

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara ocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Mściwość.

Mściwość, zwana inaczej zemstą, jest jedną z największych wad człowieka. Pomiędzy mściwością a zemstą jest jednak pewnego rodzaju różnica. Podczas gdy zemsta wybucha nagle, powiedzmy tak: jednorazowo, to mściwość trwa nieraz latami, a działa przeważnie powoli. Zemsta to jest jednorazowy odwet za rzeczywiste lub urojone krzywdy, mściwość natomiast staje się niejako drugą naturą człowieka, wgryza się w mózg opanowanego nią osobnika i przeszkadza mu w spokojnem myśleniu i przetrawianiu zaszłych wypadków bez uprzedzeń i przeinaczań.

Zemsta jest przeważnie zbrodnią, ale może również nią nie być. Zdarza się bowiem czasem, że człowiek niesłusznie pokrzywdzony niejako odruchowo, nieświadomie dokonuje odwetu. Można go wówczas zganić, ale całkowicie potępić nie można. Natomiast mściwość jest zawsze zbrodnią, choć jej za taką ustawy karne nie poczytują.

Postaramy się to wykazać na przykładach. Dajmy na to gospodarz skarcił, czy ukarał parobka, mniejsza z tem, słusznie czy nie słusznie. Parobek podrażniony chwyta jakieś narzędzie i rani, a nawet zabija swojego chlebodawcę. Wykonał akt zemsty, popełnił zbrodnię i zostanie za nią ukarany. Ale gdy ten sam parobek nie szuka odwetu natychmiast, lecz zaciśnie zęby, żal swój skryje w głębi serca i chodzi miesiące i lata z myślą, aby krzywdę swą rzekomą, czy zasłużoną, pomścić i podczas tego w drobnych sprawach dokuczyć swemu krzywdzicielowi. Myśl ta nie daje mu spokoju, a pod jej wpływem dopuszcza się rozmaitych nadużyć, a tem gorszych, że częstokroć nieuchwytnych. Oto spowoduje chorobę bydlęcia, czy zniszczenie jakiegoś zbioru na polu, lub narzędzia w gospodarstwie. Człowiek mściwy potrafi to tak urządzić, że nieraz nawet bardzo bystre oko nie zdoła dopatrzyć się w nim winy. Człowiek mściwy chodzi bezkarnie, bo żadnego paragrafu ustawy do niego zastosować nie można.

Ileż to razy zdarza się w urzędach, że podwładny zdoła się czemś narazić swojemu przełożonemu. Przełożony nie ma dostatecznych powodów prawnych, aby doraźnie wywrzeć zemstę na swym podwładnym. Zaczyna się więc mścić powoli, a więc na każdym kroku przedstawia czyny rzekomego winowajcy przed wyższymi władzami w świetle ujemnem, dokucza mu na każdym kroku, a przez to osiąga dwojaki skutek. Albo gnębiony osobnik odruchowo szuka odwetu na swym gnębicielu, stając się najniewinniej zbrodniarzem, albo zagryza wargi, sądząc, że przetrzyma wszystko. Zniechęca się do życia, zniechęca do pracy i staje się manekinem a nie człowiekiem. Wówczas prawdziwy zbrodniarz tryumfuje, bo niema na niego paragrafu, którym go za jego mściwość zdołał ukarać.

Mściwy człowiek jest więc zawsze zbrodniarzem, choć rzadko kiedy za swą zbrodnię dostaje się do kryminału.

Ale jak zresztą żadna zbrodnia nie może ujść wobec sprawiedliwości Boskiej bezkarnie, tak i mściwość nie mija nigdy bez kary. Na człowieka mściwego spadają niespodziewanie różne ciosy, co do których on sam nie wie, skąd i dlaczego spadają. I co jeszcze gorsze w tem wszystkiem to to, że człowiek mściwy po największej części sam nie zdaje sobie sprawy z tego, jaką on ciężką zbrodnię popełnia. Jemu się zdaje, że postępowanie jego jest zupełnie rzeczą naturalną, że on niejako uprzedza wyroki Boskie. Człowiek mściwy nie widzi nawet tego, jak odrażającem jest jego postępowanie i na jaką on wzgardę u społeczeństwa zasługiwać powienien. I rzeczywiście człowiekiem takim gardzą wszyscy ludzie uczciwi, choć rzadko z różnych powodów dają mu to odczuć.

DR. JÓZEF KRUSZYŃSKI.

Ludzki sąd, a Boża prawda.

Powieść kryminalna, w wolnym przekładzie Juljusza Prusa.

W tej chwili podniósł się sucherlawy prokurator i odezwał się przez zaciśnięte zęby:

— Ponieważ w protokole tych świadków napisano, że zeznali zgodnie ze świadkiem Judą Goldteichem, proszę im odczytać zeznanie w śledztwie!

— Nieprawda! zawołali chórem świadkowie. W śledztwie mówiliśmy jak dzisiaj.

— To jakżeż? Pan sędzia w śledztwie zełgał?! — krzyknął prokurator. — Ja was nauczę występować przeciw sędziemu! Protokół pisali przy waszej obecności i podpisaliście, a dziś kręcicie!

— Może pan sędzia pomylił się — odezwał się jeden ze świadków.

— To ty mylisz protokół kłamco. Wiesz dobrze jak mówiłeś i chcesz zrobić.

— Na Boga się klnę, jako nieprawda!

— Milczeć!

— Kiedy nic podobnego nie mówiłem. Kłamać nie chcę, a jakom wtedy mówił, to i dziś to samo.

— Więc w żywe oczy zapierasz coś podpisał?

— Twarda sztuka! — mruknął sędzia z twarzą Japończyka.

— Więc cofasz coś teraz powiedział, czy obstajesz przy swojem? — zapytał prokurator.

— Mówię, że nic podobnego nie mówiłem w protokole co dzisiaj.

— A wy dwaj?

— My także.

— Ano, to do kryminału! — replikował z miejsca przewodniczący.

Na żądanie prokuratora uwięziono zaraz tych trzech świadków, jako podejrzanych o fałszywe zeznania.

Następni świadkowie zeznali, że niczego nie pamiętają; byli zresztą pijani, gdyż przybysz z Ameryki fundował im dużo piwa z rumem...

Po naradzie, odczytano Sylwestrowi wyrok uznający go winnym wszystkich zarzuconych mu zbrodni; uwolniono go tylko z obrazy honoru Judki, bo wielkoduszny żyd urazę tę mu darował.

Sylwestra zasądzono na ciężkie więzienie.

Po ogłoszeniu wyroku, pouczył skazanego groźny przewodniczący, że wprawdzie ma prawo wniesienia rekursu od wyroku do najwyższego trybunału, jednakowoż na nic mu się to nie przyda, bo wymiar kary jest bardzo łagodny, a za swoje wszystkie zbrodnie, powinien podsądny siedzieć dożywotnie.

VIII.

Po ogłoszeniu wyroku, zamknięty w celi, przechodził więzień tak wielkie moralne udręki, że wprost opisać się tego nie da. Już to samo, że pozbawiono go wolności bez słusznej przyczyny, sprawiało mu ból okrutny. Nie mógł pojąć, jak jego, wolnego obywatela, uczciwego człowieka pracy, mogli pozbawić tak od jednego zamachu, tego największego skarbu: wolności, i nie dać możności wynalezienia środków obrony i dowodów, że Judka i Matwij poprostu go oczernili. Jako człowiek uczciwy, nigdy nie przypuszczał nawet, aby ludzka złość i podstęp mogły się podnieść do takiej podłoty i krzywdy względem bliźniego. Sam nie byłby nigdy w stanie spotwarzyć drugiego dla jakiegoś niewiadomego czegoś... a co to mogło być? Wszak niczego złego im nie zrobił i nie miał zamiaru zrobić. Owszem chciał z duszy dla stryjecznego brata wszystko najlepsze, a teraz za to siedzi i poi się przykrą, hańbiącą samotnością, zamknięty jak zbrodniarz niebezpieczny i pilnowany podejrzliwie. Żal począł go nurtować i coś się w nim rwało niesamowicie. To odczucie tej krzywdy ze strony prawa i ze strony swojego krewnego. Bezduszny gad! Ha! Przepadło! Niech piekło pochłonie takie życie w tem mrowiu podstępu i zdrady! Cóż mu z tego, że podczas śledztwa, protokołów i różnych konfrontacyj bronił się jak lew. Cóż mu z tego, że chował w duszy potężną wiarę w sprawiedliwość i prawdę i że mimo nieprzespanych nocy więzienia śledczego wierzył niezłomnie, że prawda wyjdzie na wierzch, a sprawiedliwości stanie się zadość —: gdy to wszystko runęło jak w przepaść, zapadło się w otchłanie, a jemu zostaje rozpacz, niewiara i więzienie. Czemu to tak być miało?

Przegrał na całej linji, niemniej w duszy każdego człowieka w najwyższej bezradzie znachodzi się nagle równoważnik zwany nadzieją. Z głębi udręki wychyliła się ona wdzięcznie i zaczęła podszeptywać o istnieniu innej sprawiedliwości, która niczem i nigdy oszukać się nie da, byle cierpieć w cichości i czekać gdy inaczej być nie może. Posłuchał tego głosu i dlatego ten ciężki wyrok spadając na duszę jak armatni pocisk, nie zmiażdżył jej, ale przeciwnie, oblał ją światłem siły, zdającej się być z wysoka. Zaczął przyjmować uderzenia losu tak jak każdy sprawiedliwy przyjąć winien: chociaż z goryczą w duszy, ale zewnętrznym spokojem, z tym usiłowaniem pogodzenia się z losem i zapomnieniem o krzywdzie. Tak powiedział sobie:

— Widać kazał Bóg tym sposobem odpokutować własne, czy też przodków przewinienia, zatem w pokorze przyjąć to należy, dla Bożej chwały i cierpieć w milczeniu.

Przeszedłszy burzę, teraz dopiero spostrzegł, że w celi ma towarzyszy. Przyglądali mu się ciekawie i zagadywali potrochę zrazu nieśmiało. Ktoś rzucił lakonicznie: — Przejdzie i to! W kryminale żyć można!

Gęby były różnego kalibru i umysły także. Odczuł Sylwester wzajemną niedolę ulgą: jest ktoś obok niego drugi i trzeci w tej samej kajdańskiej niewoli. Dał odpowiedź na pytanie streszczając cały proces i porównując go z prawdą. Na razie dysputy nie było. Oniemienie ogarnęło wszystkich, jako że krzykliwa niesprawiedliwość była widoczna i bez apelacji: Niema rady! Spuścił głowę Sylwester po tej opowieści, i modląc się otworzył serce i duszę najprzenikliwszemu Panu, aż ogarnięty znużeniem, usnął wkońcu takim snem, jakiego dawno już nie miał.

Będąc w duszy niewinnym, już na drugi dzień raźno i z ochotą zabrał się do wykonania pracy naznaczonej mu przez zarząd więzienny. Wypełniwszy ją sumiennie i z wiarą w głębi duszy czemraz rosnącą, spoglądał w przyszłość. Praca wróciła mu równowagę.

Wkrótce stał się Sylwester w więzieniu niezbędnym. Ów dom karny tak był urządzony, że w suterenach miał własną elektrownię, która oświetlała budynek; miał wodociąg, elektryczny młyn w którym mełło się zboże na mąkę dla więźniów; piekarnię więzienną. Oprócz tego były tam warstaty: krawiecki, szewski, ślusarski, stolarnia i tokarnia. Wszyscy więźniowie zatrudniali się w jednym z tych zawodów, a tylko niezdarni czyścili pomosty, podwórza i wykonywali podrzędne prace.

Sylwester na wszystkiem rozumiał się: i na elektrycznych maszynach i na rzemiosłach. Nastąpiła w ruchu jakaś przeszkoda wskutek wadliwości mecha-

nizmu, już Sylwester uszkodzenie usunął, zanim nadszedł uczony mechanik z zarządu więziennego. Pouczał także więźni pracujących, udoskonalając w nich pojęcie o zawodzie i dokładności w pracy; wszędzie go było pełno, chwili nie próżnował. Stał się duszą tych warstatów umiejąc wybrnąć z kłopotów regulaminu i poradzić sobie z trudniejszą pracą wymagającą kombinacyj. Ponieważ często był serdecznym doradcą, stał się ulubieńcem całego więzienia, a potem i zarządu. Z tej też przyczyny cieszył się względną swobodą, mimo kary ciężkiego więzienia, bo zarząd i dozorcy wierzyli mu, więc też i w murach więziennych obracał się swobodnie. Na los swój nie uskarżał się, krzywdzicieli nie przeklinał i o sobie z nikim nie rozmawiał.

Pewnego dnia, do celi w której spał, przydzielono więźnia zasądzonego za kradzież złotego zegarka. Przychwycono go na sprzedaży, a sam przyznał się, że zegarek ten ukradł. Złodzieja tego nazywali: Fedko Kopryk i znali go dobrze, gdyż wiele już razy odsiadywał karę więzienia. Był to wielki nicpoń. Z kilku słów rozmowy, Sylwester poznał, co to za ziółko.

Żadnego zrozumienia krzywdy bliźniego nie było w tym człowieku, żadnego odczucia, ni wiary żadnej ni Boga w duszy — ot bydlę. Przed przełożeństwem był faryzeuszem, udawał głupkowatego; przed równymi sobie, mądralą, herszt złodziejski, który się chwalił: — Jeśliby była na świecie sprawiedliwość, to zato com już w życiu naskrobał, powinien byłbym już dawno wisieć na szubienicy.

— A ja, gdyby była sprawiedliwość — odparł Sylwester — nie powinienem tu siedzieć ani godziny. Kopryk i Sylwester nie mogli się zrozumieć. Pierwszy bowiem, to jest Kopryk, przebywszy w więzieniu „wiele kadencyj" nie pojmował jak człowiek odsiadujący karę, może zaprzeczać swoją winę, a Sylwester nie rozumiał, jakie to poczucie sumienia istnieje na świecie, jeżeli złodziej przyznający się jawnie do kradzieży zegarka, chwali się i wynosi z tego, że mu krzywda bliźniego uchodzi bezkarnie.

IX.

Tymczasem po zasądzeniu Sylwestra, Matwij nie znalazł tej pociechy i tego spokoju o jakim myślał podczas układania planów z Judką. Chodziło wtedy, o to, aby mniemanego wroga uczynić nieszkodliwym. Tak na oko stało się to wszystko i powinienby spokój ujawnić się terazz trwale i troska wyparować z życia, tymczasem dymy złudzenia rozwiały się, a zostały zgliszcza. Coś niesmacznego, przykrego, chłodno oślizgłego zaczęło przenikać duchowe jestestwo Matwija. Rozwinęło się w nim oko spostrzegawcze, zaprawione boską sprawiedliwością, a polegające na tem, że przypominało mu się wszystko na każdym kroku i sądziło. Przed samym sobą obniżała się własna wartość, a oko spostrzegało najbardziej ukrywaną niechęć u bliźniego, gdy w zetknięciu się z nim była mowa o procesie.

Świadkowie, którzy razem z Matwijem szli na rozprawę, ci sami świadkowie, co owego wieczora pili w karczmie piwo z rumem gdy Sylwester wrócił z Ameryki, nie przeczuwając, że przybysza spotka za chwilę nieszczęście — ci sami ludzie do niedawna życzliwi obu braciom, przestali teraz z Matwijem witać się i jawnie od niego stronili.

Trzej świadkowie, których podczas rozprawy przykazał prokurator zamknąć za rzekome fałszywe zeznania, jakimś cudem wyszli na wolność w kilku dniach. Mówią, że sam sucherlawy prokurator, któremu nigdy nie było za dużo ofiar dla więzienia odstąpił od ich oskarżenia. Jakto się stało nikt nie wiedział. Tylko Matwija to gryzło... Czemu? Niewiadomo.

W końcu i przyjaźń z Judką wzięła w łeb. Matwij oduczył się rozmawiać z ludźmi, a nawet z żoną niechętnie się znosił. Dzień i noc ciężko pracował, aby o czemś zapomnieć, mimoto nie mógł wyjść z tego stanu dręczącego: był on głośniejszy nad wszelkie głosy i pilniejszy od najpilniejszej pracy. Wszyscy ludzie we wsi dziwili się co to z Matwijem się stało — choć pozornie nikt nie mógł mu nic złego zarzucić, ani złego słowa o nim powiedzieć. Widziano, że pracuje: pierwszy jest na polu i ostatni z niego schodzi; krzywdy nikomu nie zrobił, owszem po możności wspierał i pomagał. Chociaż z początku, po zasądzeniu Sylwestra chodziły pogłoski, że Matwij zmylił protokół i że przysiągł na nieprawdę — pogłoski te wyszły od owych trzech świadków co byli zamknięci — dziś nikt już tym pogłoskom nie wierzył i w końcu o nich zapomniano. Zaciera się czasem i taka rzecz w umysłach, po pierwszych wybuchach gniewu i podejrzenia. Do cerkwi Matwij chodził, stawiał świeczki przed obrazem i modlił się gorąco — tylko zawsze stawał w kąciku ze spuszczoną głową, z okiem ponurym utkwionym w tafle posadzki. Ludziom to w oczy wpadało, że nie stawał na przodzie między honorowymi gazdami, lecz zapychał się w kąt, choć przedtem tego nie robił. I jeszcze gdy starsi bracia cerkiewni chcieli go uczcić przez podanie świecy, i tego Matwij nie przyjął, choć był gospodarzem nie byle jakim.

Z dnia na dzień marniał, a raz nawet w adwencie zachorował tak ciężko, że już wszyscy myśleli, że koniec życiu przyjdzie; żona płakała i zawodziła.

Przyszedł ksiądz z Wijatykiem, ale Matwij leżał bezprzytomny, nic nie widział i nie słyszał — nie mógł przyjąć świętych Sakramentów. Sługa boży, pomodlił się nad nim, pobłogosławił, namaścił świętymi Olejami i odszedł. Wkrótce potem otworzył chory oczy, a gdy się dowiedział co zaszło, powiedział: Widać nie wybiła jeszcze moja godzina; nie chce Bóg śmierci i zatracenia grzesznika, ale pełen miłosierdzia czeka na pokutę, chcąc go zbawić. Żona zapłakała gorzko, a z nią i drobne dzieci.

Rzeczywiście, niezadługo Matwij wyzdrowiał, prowadząc życie jak dotychczas, to jest w ciężkiej pracy, smutku i samotności. Judka nie pokazywał się mu na oczy; a jeśli ktoś w jego obecności mówił o tym żydzie, żegnał się krzyżem świętym.

X.

Za kradzież złotego zegarka, niewiadomo czyjego, bo nikt się po niego nie zgłosił, Kopryka zasądzono. Nic sobie z tego nie robił, był wesoły, chętnie odsiadywał swoją karę, ciesząc się i licząc, za ile to miesięcy wyjdzie na wolność. Jedno go tylko gryzło: Pomiędzy sędziami, którzy go sądzili, był jeden mądry i sprawiedliwy, który sumiennie rozpatrywał każdą sprawę i umiał po oczach poznać złodzieja. Jednakowoż sędzia ten nie umiał nienawidzić ludzi; kochał swoich bliźnich, a na oskarżonego choćby o najcięższe zbrodnie, patrzył jak na człowieka, to jest, jak na obraz i podobieństwo Boże.

I dlatego, jeżeli nie miał absolutnej pewności, że podsądny winien naprawdę; nigdy go nie zasądził, lecz owszem bronił takiego przed innymi sędziami, lepiej niż stu adwokatów. Ale jak raz zasądził, to specjalnie złodziejom dawał post trzy razy w ty-

godniu. Zasądzony trzy razy w tygodniu, oprócz chleba i wody nie dostawał nic.

Taki właśnie post otrzymał Kopryk i to gryzło. W dnie postne przeklinał tego sędziego, cały świat i Pana Boga. Sylwester starał się wpływać na Kopryka, tłumaczył mu, że kara słuszna, a przeklinanie rzecz brzydka, niechrześcijańska, a specjalnie przeklinanie Pana Boga, rzecz zbrodnicza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wizje przeszłości...

Zbliżał się dzień 22 stycznia w 1917 roku — wówczas kiedy to Królestwo wyswobodzone z pod knuta moskiewskiego, lżej nieco oddychać zaczynało pod władzą okupantów.

Rycerski duch Polaków budził się... a serca zaczynały bić nadzieją i pragnieniem czynu...

Szlakami ofiar i krwi... postępowali nowi bohaterzy, dzierżąc sztandar z białym orłem w swej dłoni... za którym szły długie szeregi wyzwalających się z niewoli mas.

Do ciasnego ponurego pokoiku, o grubych murowanych ścianach i dużych zakratowanych oknach, zakradł się tego wieczoru promień niebywałej radości...

Dwie siostry, Hania i Zochna, stały obok siebie, z gorączkowymi wypiekami na twarzy, i przyglądały się z nabożną czcią, wykończonemu dopiero co, małemu sztandarowi, na którym z jednej strony widniał obraz Boga Rodzicy, a z drugiej na amarancie biały orzeł, wyszyty ręką Hani.

— Skończony chwała Bogu! — zawołała z radością Hania. — Za dwa dni, w rocznicę powstania, wniesiesz go siostrzyczko na scenę i powiejesz nim nad tłumami z okrzykiem: „Za sztandarem!...“

— Jakże jestem szczęśliwą — mówiła Zochna — że to my pierwsze podniesiemy tu w naszem małem miasteczku, sztandar z białym orłem, którego nie widziano przez długie wieki niewoli... Babuniu! — zawołała, zwracając się do stojącej tuż obok babki, która ocierała łzy wzruszenia płynące natarczywie po zmarszczonej twarzy. — Babunia nam opowie dziś jeszcze raz, swoje wspomnienia ze styczniowego powstania... tu przy tym sztandarze... będzie to niejako chrzest nowego sztandaru, który powiewać będzie wkrótce nad tłumami.

— Dzieci wy moje kochane! — wyszeptała staruszka drżącym ze wzruszenia głosem. — Jakże się cieszę wraz z wami... a jednocześnie jakże mi przypominacie, tamte z przed laty... dwie siostry — tak jak wy dorodne — które w tym samym pokoiku i za temi kratami siedziały więzione przez Moskali, za to jedynie, co wyście dziś wykonały: za wyszywanie polskich sztandarów. Byłam wówczas dwunastoletnią dziewczynką, gdy się rozgrywało na ziemi polskiej powstanie styczniowe: pamiętam też jak z innemi dziećmi przybiegałam często pod te mury, które były murami więzienia... i jak z poza żelaznych krat wyglądały śliczne blade twarzyczki obydwóch sióstr, które często uśmiechały się do nas dzieci, poprzez szklące się w oczach łzy... i słały nam od ust pocałunki. Nie same też były uwięzione: wraz z niemi uwięzionym był i ich ojciec, który siedział po drugiej stronie więzienia i również wyglądał do gromadzących się tam dzieci. Zabrali ich wkrótce i wywieźli hen na północ... a nazwiska ich nikt nie zanotował ani zapamiętał... W mojej jednak pamięci pozostali na zawsze bezimiennymi bohaterami umęczonej Polski, których nigdy nie zapomnę! Ale nie tylko ich jednych pamiętam — ciągnęła dalej babka do zasłuchanych dziewcząt. — Pamiętam jeszcze wiele innych, smutnych lub krwawych dramatów z powstania 63 r. i wielu bezimiennych bohaterów, których imiona zaginęły, nieznane późniejszym pokoleniom. Jeden z takich smutnych obrazów widzę jeszcze, jakoby dziś stał przed memi oczyma. Było to w zimie, przy końcu już powstania, gdy codzień słychać było o przegranej Polaków i o zwycięstwie Moskali. Pewnego dnia, przechodząc koło naszego kościoła, zostałam zatrzymana przez dwie jakieś panie, które mnie zaraz na wstępie zapytały, czy nie boję się nieboszczyków. A gdy ich zapewniłam, że się nie boję, zaproponowały mi, bym poszła wraz z niemi do dzwonnicy i otworzyła wieko stojącej tam trumny. — Zobaczysz dowódzcę powstańców — dodały szybko, w obawie, bym im nie odmówiła, lecz ja nie myślałam o odmowie. Weszłyśmy też zaraz do wnętrza dzwonnicy, gdzie ujrzałam białą stojącą trumnę. Otworzyłam wieko... W trumnie leżał człowiek... obdarty aż do bielizny, na której czerwieniła się zakrzepła krew, z nieprzeliczonych ran jego ciała... Spojrzałam wówczas w jego półotwarte oczy... i zapatrzyłam się na długą, długą chwilę... Oczy te bowiem, choć szkliły się bielmem śmierci, miały w sobie taką dziwną moc nakazu... że choćbym żyła jeszcze pół wieku, nie zapomnę! Pochowano go tegoż jeszcze dnia, cicho, bez żadnych oznak i honorów. Nie zapamiętał też nikt, kim był ów wódz bezimienny... ani nie wie nikt, która wśród tysięcy innych, jest jego mogiła. Zapamiętałam jednak i wiem, że był to dowódzca oddziału powstańców, któremu na imię, podobno, jest Legjon...

Przez chwilę zaległa cisza — tylko serce babki biło cichym rytmem wspomnień, bohaterskiej przeszłości... a dwa młode, wydzwaniały nowe hasła dla przyszłości... Aż naraz Hania zawołała, dźwięcznym swym głosem, przerywając ciszę:

— To nic, babuniu, że nie znamy imion wszystkich polskich bohaterów... tem droższemi będą nam młodym ich krwawe legendy... i tem bardziej pójdziemy ich śladami, aż posiew męczeńskiej ich krwi, zmieszany z naszym trudem, rozkwitnie kwiatem wolności na polskiej ziemi!...

— A czy widziała babcia kiedy egzekucję? — zapytała Zochna, ciekawa dalszych opowieści.

— Raz jeden byłam świadkiem takiej egzekucji — mówiła babka. — Stałam blizko, bo zaledwie o kilkanaście kroków od miejsca, na którem rozstrzelano polskiego powstańca: widziałam też dokładnie cały dramat śmierci tego dzielnego żołnierza i bohatera. Powstaniec ów był dezerterem z wojska rosyjskiego, który przeszedł do polskiej partji, a którego jednak schwytano i uwięziono, a potem rozstrzelano. Było to na wiosnę, w dzień św. Marka, pamiętam dobrze. Od samego świtu tłum ludzi oczekiwał już koło więzienia na oznaczoną godzinę egzekucji. Wreszcie ujrzano oddział konnicy pędzący na siwych koniach, i postępującą orkiestrę. Za chwilę wyprowadzono więźnia: był ubrany w siwą czamarkę i granatową rogatywkę z siwą obwódką. Wśród zawodzeń płaczu i bicia bębnów, pochód ruszył. Więzień otoczony wojskiem podążał szybko, tak szybko, że trudno było za nim nadążyć;

wkrótce też wszyscy stanęli na oznaczonem miejscu. Z przerażeniem ujrzały oczy widzów wykopany grób, nad którym stanął nieulękły młody bohater. Zanim go przywiązano do słupa, zdjął czapeczkę, ukłonił się w trzy strony i zawołał: „Bracia giną za Ojczyznę... Niech żyje Polska!...“ Głuchy łoskot bębnów zgłuszył ostatnie słowa więźnia i płacz wydzierający się z tysięcznych ludzkich piersi. Padły strzały — jeden, drugi i trzeci... drgnęły nogi i ugięły się lekko... Jeszcze dwa strzały, prosto w serce wycelowane — i zwisła głowa bohatera, aby nie podnieść się już więcej. Szybko odwiązano ciało, które runęło w przygotowany tuż grób. Gdy narzucono ziemię i zrównano mogiłę, ta jeszcze lekko się trzęsła, przepojona młodą krwią polskiego powstańca.

— A nazwisko jego babciu, czy babcia też nie wie? — zapytała cicho Zochna.

— Wiem. Nazywał się Wójcik — a rozstrzelano go i pochowany jest na polach Łęcznej, w ziemi Lubelskiej. Na miejscu tem stał kiedyś krzyż, ale go burze zwaliły... więc niema tam dziś nic...

— Gdy Polska będzie wolną, odnowimy krzyże wszystkich jej bohaterów! — zawołała Hanka przekonywująco.

— Daj to Boże, amen! — szepnęła babka.

Minęło od tego czasu lat 12. Dziesięć lat jak Polska jest wolną... ale nie wszystkie krzyże odnowiono jej obrońców i nie wszystkie mogiły odszukano... Zapomniano też i o powyżej opowiedzanych bohaterach, choć są starzy ludzie w miasteczku Łęcznej, którzy pamiętają one dzieje... i są młodzi, których powinnością jest odszukać one zapomniane mogiły... i podnieść nad niemi strącone wichrem krzyże.

Kachna Ł. Łza.



SCHRONISKO i KAPLICA w PUSTELNI Św. JANA z DUKLI

Ziemia nasza wydała wielu mężów świętych, którzy za swe cnotliwe życie cieszą się wi czną szczęśliwością u stóp tronu Najwyższego. Niektórych z nich Kościół święty policzył w poczet świętych, innych uznał za błogosławionych, a jeszcze inni, a takich było bardzo wielu, zniknęli w niepamięci ludzkiej. Komuż nie znane są wielkie imiona świętych: Stanisława Szczepanowskiego, Jana Kantego, O. Jacka, Dominikanina, Królewicza Kazimierza, bądź błogosławionych: Wincentego Kadłubka, Jana z Dukli i t. d. Na cześć tych świętych i błogosławionych pobudowano mniejsze i większe świątynie w miejscach, gdzie się urodzili lub żyli. Ma taką maleńką świątynkę i błogosławiony Jan z Dukli na kresach południowych djecezji przemyskiej tuż obok góry Cergowej na tak zwanej „Zaśpicie“ w miejscu, gdzie przez 3 lata przebywał ten wielki Patron naszej Ojczyzny — obrońca Lwowa błogosławiony Jan z Dukli.

Ustronie to, zwane „Puszczą“ od czasu pobytu błog. Jana aż po dziś dzień jest miejscem licznych pielgrzymek, nietylko z okolicy, ale z całej Polski. Znajduje się tam piękny kościółek z ciosowego kamienia, wybudowany w roku 1908. Widzimy go na naszym obrazku. Nieopodal kościółka są stacje Drogi Krzyżowej, grota z cudownem źródełkiem i mały, walący się już domeczek, zamieszkały przez pustelnika i stróża tego świętego miejsca.

Jak powiedzieliśmy wyżej, przybywa tam wiele pielgrzymek, aby pomodlić się do błogosławionego, ale zwiedzający to cudowne miejsce odczuwają brak jakiegoś schronienia w czasie odpustu w czasie deszczu i niepogody. Dlatego też OO. Bernardyni Dukielscy postanowili przy pomocy ludzi dobrej woli wybudować schronisko, którego projekt widzimy po lewej stronie naszego obrazka. Czy się im to uda? Gdyby liczyli tylko na własne siły, należałoby wątpić w powodzenie ich zamierzeń, gdyż, żyjąc sami z jałmużny nie mogliby dokonać nawet tak skromnego dzieła, ale liczą oni na pomoc wiernych, i na ofiary, jakie od nich otrzymają. Nie należy wątpić, że i nasi Czytelnicy, gdy przeczytają te słowa, pospieszą im choćby ze skromną pomocą, przesyłając na ten cel swe ofiary na ręce klasztoru OO. Bernardynów w Dukli. Z małych nawet ofiar może się zebrać taka kwota, jakiej będzie potrzeba do wybudowania tak niezbędnego schroniska.

Przyjechali ułani.



Przyjechali z wojenki ułani
I stanęli w sadzie pięknej Hani.
Zadzwoniły szable i ostrogi
Kiedy w Hani wstępowali progi:

Przodem kapral szedł rozpromieniony,
Bo widoku dziewczęcia spragniony...
A gdy weszli ułani do chaty,
Hania w bukiet układała kwiaty,

By je zanieść do stóp Matki Boskiej,
Której posąg stał na końcu wioski —
I tam się też gorąco modliła,
By jej z wojny Jasieńka wróciła!

Dziś jej prośba już jest wysłuchana
Oto widzi w swej chacie ułana,
Swego Jaśka, swe szczęście i życie!
W twarz mu patrzy w miłosnym zachwycie.
A po krótkiej ekstatycznej chwili
Pocałunkiem swe usta złączyli...

— — — — — — — — — — — —

Przyjechali drużbowie ułani
Na ślub Jaśka i nadobnej Hani.
Zabłysnęły pawie pióra szumnie,
Jak blask słońca na tęczy kolumnie.

A skrzypeczki tak czarownie grały
Przy ich tonach pary wywiały
Aż do rana, do złocistej zorzy
Póki śpiewak-skowroneczek Boży

Nie zaśpiewał — gdy ucichły śpiewki
Szli drużbowie na łan, szły i dziewki
By pracować do zachodu słońca
Potem znowu — hej, znowu do tańca!

Robert Rydz.



Taki wam psiapara mróz się skądsiś przypytał, ze ani oka na świat z pod capy wychylić ni mozna. I bez to zdarzają się ludziom rozmaite nieszczęścia. W tamten tydzień Srul Mosków sed z karcmy do miasta po cielęta, to mu pejsy do brody przymarzły z jednej strony, a z drugiej wąsy do brody, ze ni mógł ani głową na zadną stronę obrócić, ani pyska otworzyć. I jak przysed do miasta, to mu musiała jakasik zydówka kudły żelazkiem prasować, coby odtajały. Nie lepiej było z powrotem. Kupił se cielę w mieście, a ze mu ziąb mroził paluchy, przeto ni mógł prowadzić cielęcia za powrózek. Pomyślał se, ze lepiej będzie popychać je za ogon, bo w tamtę stronę cielę od casu do casu choć trochę ciepła puści. Ale cielę, jak cielę: na grzecnościach niewiele się rozumi, więc tez nie pytając się Srula, cy mozna, cy ni mozna, pokropiło trochę swój ogon i Srulowe palice. Srul zadowolony, bo się mu zaraz cieplej zrobiło, uśmichnął się sam do siebie i popychał cielę, jak gdyby nigdy nic nie zasło, a temcasem ani się nie spostrzegł, jak mu cielęcy ogon do rękawice przymarzł. Srul chciał rękawice od ogona odcypić, ale się mu nie dały, a do tego cielę pocęło wirzgać i tak się stało ze cielę z rękawicami u ogona uciekło, a Srul wrócił sam z bosemi rękami do chałpy. Co to było potem jajcenia, to nie trza wam gadać, bo Srul i cielę i rękawice bez jeden głupi mróz stracił.

Abo drugi wypadek takze przez mróz. Będzie temu bez mała juz ze dwa tygodnie, jak wracała Weronka Grzelonka od krzesnomatki z Śmierdzącej Woli. Ziąb był okrutecny i wiatr dął niemiłosierny, a Weronka jako to jesce po miescańsku nie cywilizowana dzieucha nie miała pod spodnicą nawet najkrótsych portecek. To tez wiatr śmigał ją, gdzie się dało, a bidne dzieusysko klekotało zębami, jak w wielki piątek chłopaki w kościele na klekotkach. I byłaby do krzty zmarzła, zeby nie Kuba od Paceśniaka. Zuźrał ją chłopcysko, a ze to on ma zawse litosierne serce na przyciśnione niewiasty, więc i Weronką się zaopiekował. Wziął ją pod pazuchę, drugą ręką ścisnął jej łapę tak, ze dzieuse coraz cieplej się robiło. I tak śli i śli, a po kawałku se odpocywali i wreście dosło do tego, ze w tę sobotę pośli na pacirze do jegomości. I cy to nie prawdziwe niescęście dla bidnego chłopaka, powiedzcie sami? A wszyćko przez ten mróz! Bo gdyby nie mróz, Weronka nie musiałaby zmarznąć, Kuba nie musiałby jej rozgrzywać, nie byłoby zapowiedzi, wesela, chrzcin i inksych utrapień.

Abo znowu kiedy indziej trafiło się tak: Walek Obizek miał się juz z dawien dawna do Honorki Paćkajówny. Ale jakosik schodziło tak, ze nijak nie mógł się wybrać na poseliny. Dopiero ozmyślił się w tamtem tygodniu i pada: „Raz kozie śmierć! Trzeba iść!" I wybrał się we środę wiecorem. Mróz i ziąb był okrutecny i Walek byłby zmarzł na amen. Ale wypadło mu przechodzić wele karcmy. Tak tedy powiada sobie: „Wódka grzeje, wódka chłodzi, wódka nigdy nie zaskodzi!" — i wstąpił do karcmy na jednego. A wiadomo, ze po jednem zawse następuje drugi, a gdzie jest dwoje, tam juz o trzecie nie trudno, latego tez i Walek powtarzał i powtarzał ze trzy godziny jaze się mu potem odniechciało wszyćkiego. A temcasem, jak to powiadają, zwąchał pismo nosem Bartek Obcęga, siepnął się do Honorki, wyprawili w ten sam wiecór poseliny, a juz w niedzielę była pirsa opowiedź. I cy to nie prawdziwe niescęście la Bartka? A wszyćko bez ten mróz!...

Abo opowiem wam jesce inną krystoryje. A było to tak: Michałowa z Franciskową zyły od lat wielu w wielgij serdecności, tembardziej ze się rzadko widywały, bo chałpy ich stały daleko od siebie: jedna na jednem końcu wsi, a druga na drugiem. I byłyby tak zyły do skońcenia świata. Ale stało się inacej, i to znowu bez mróz. Oto w tamten piątek spotkały się obie w Szeńsowie na jarmarku. Michałowa przysła se kupić garnusek za pięć grosy, a Franciskowa gajsu za pół złotego. Chodziły i kupowały jedną godzinę i drugą, jaz wreście kupiły i byłyby posły do chałpy, zeby nie wielgaśny mróz. Jakosik tak z tego do tego, ze przysło do tego, ze se obie uradziły tentego, aby wstąpić do tego, gdzieto mozna dostać i tego i tamtego. i jakosik przysło wkońcu do tego, ze się obie tentego. Gorzej było z płaceniem: Michałowa nie kciała i Franciskowa nie kciała, a Mosiek zadarmo tez nie kciał. Ostatecnie Michałowa powiedziała Franciskowej małpo, a Franciskowa powiedziała Michałowej takze: małpo, a choć obie prawdę powiedziały, to jedna drugiej nie kciała uwierzyć. I byłoby przysło, Bóg wie, do cego, gdyby nie policjon, którego w tej chwili Poniezus skądsiś stworzył a który je obydwie na wytrzeźwienie zabrał do hareśtu.

Chwała Bogu. ze jesce są policyjanty na świecie. Nie wiadomo, skąd się to bierze, ale zawsze się tam znajdzie, nicem pogotowie ratunkowe, gdzie najbardziej potrzeba. I to jesce wszyćkiem przecie wiadomo, ze choć się wsyscy mrozu boją, to on jeden do niego bez cały dzień zęby wyscyrza i przed niem się nie chowa.



Zwątpienie.

Uczyniłbym harfę złotą
Z gwiazd na niebie,
Coby grała nie tęsknotą
Koło ciebie.

Coby grała nie tęsknotą,
Lecz nadzieją,
Czy to zimą, czy to słotą,
Czy zawieją.

Uczyniłbym harfę złotą
Z pereł rosy
Coby grała nie tęsknotą
Pod niebiosy.

Coby grała nie tęsknotą...
Uczuć kwiatem,
Czy to zimą, czy to słotą,
Wiosną, latem;

Ale kiedyś ty jak skała
Już tak sobie —
Ma harfa się pogrzebała
W ciemnym grobie.

Wincenty Kuglin.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Czarny kapłan.

Z końcem czerwca 1890 roku przybyli do Krakowa dwaj misjonarze, kapłani katoliccy, z których jeden był zupełnie czarny. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że czarność u owego księdza nie była sztuczna, ale zupełnie naturalna, że ksiądz ten był murzynem. Jakoż rzeczywiście tak było. Ksiądz ów nazwiskiem Daniel Sorur Pharim Den pochodził z głębi Afryki, z doliny Białego Nilu, zamieszkałej przez plemię murzyńskie Dinka czyli Denka.

Naród Dinka składa się z 24 plemion, z których 18 mówi narzeczem zupełnie odrębnem, które nie ma żadnego pokrewieństwa z językiem sąsiednich narodów.

Ludność tej krainy trudni się przedewszystkiem rolnictwem i hodowlą bydła. Dzieci od pierwszej młodości pasą woły, kozy i owce. Są to jedyne zwierzęta domowe, jakie tam można spotkać i są zarazem największem bogactwem mieszkańców. Podczas gdy chłopcy pasą trzody, jedna z ich sióstr lub krewnych przyrządza pożywienie. Rodzice tymczasem i starsze dzieci pracują w polu.



Pierwszy grzech księdza Daniela.

Do uprawy roli używają Dinkowie trzech odrębnych narzędzi, wyrobionych z żelaza lub kości w kształcie siekiery mającej 50 cm. długości. Gdy nadejdzie pora właściwa do siewu, wówczas zbierają i palą suche trawy na polu rosnące, a po pierwszym deszczu ojciec i matka z najstarszymi synami i córkami wychodzą do pracy. Praca odbywa się zawsze na klęczkach; po zoraniu gruntu następuje zasiew. Grunt odznacza się urodzajnością, oprócz wybornego żyta wydaje piękną kukurudzę, bawełnę, trzcinę cukrową, fasolę i mnóstwo innych pożytecznych roślin, u nas zupełnie nieznanych. Z drzew owocowych rosną tu drzewa tamaryndowe, kokosowe i chlebowe. Z owoców drzewa chlebowego otrzymuje się chleb, a to w taki sposób, iż ziarna, obfitujące w krochmal, suszą się, mielą i pieką.

Żniwo odbywa się dwa razy do roku. Pierwsze z nich następuje niezwłocznie po dojrzeniu zboża, które żną nisko, poczem z korzenia nowe źdźbło wyrasta. Drugie żniwo odbywa się po upływie dwóch miesięcy od pierwszego zbioru, jednak przed porą deszczową, trwającą w tamtych okolicach od lutego do kwietnia. Powtórne jednak żniwo niewielką przynosi korzyść, więc ludzie bogatsi go tylko na pokarm dla bydła używają.

U Dinków każdy ojciec jest nieograniczonym władcą w gronie swej rodziny i rozporządza dowolnie jej mieniem. Dzieci zależą bezwarunkowo od rodziców, dopóki się nie pożenią i nie założą własnego ogniska.

Co do ubiorów, to mężczyźni i młodzieńcy chodzą zupełnie nago, mężatki zaś i dziewczęta mogące już wyjść za mąż noszą około bioder przepaskę. Wszystkie też bez wyjątku dzieci nie mają żadnego ubrania.

Kształt domów u Dinków jest okrągły. Budują je w następujący sposób: najprzód zakreślają koło, oznaczając jego okręg rowem na pół metra głębokim, do którego wbijają mnóstwo słupów na dwa metry wysokich i łączą takowe ze sobą zapomocą słomy lub trzciny. Dla utrwalenia budowy oblewają ją gliną używaną zwykle zamiast wapna, poczem do ścian przytwierdzają mocne krokwie, wiążąc u góry przeciwległe ich końce w kształcie głowy cukru. W taki sposób tworzy się dach stożkowaty, który kobiety pokrywają sitowiem tak, aby deszcz nie mógł się dostać do wnętrza chaty. Zamiast drzwi w takiem mieszkaniu jest tylko otwór dochodzący co najwyżej do pół metra wysokości tak, że przy wyjściu lub wejściu do chaty czołgać się potrzeba. W stajniach dla wołów, kóz i owiec drzwi są na parę metrów wysokie. Okna, jeżeli można je tak nazwać, składają się z okrągłych otworów wielkości kuli działowej. Łatwo się domyślić, że w takiej chacie niema żadnych sprzętów; mężczyźni sypiają zwykle przy wołach, zanurzając się w popiele ze spalonego bydlęcego nawozu dla zabezpieczenia się w taki sposób od dokuczliwych komarów. Kobiety zaś kładą się w chacie na nagiej ziemi i okrywają się wołowemi skórami.

Gdy dzieci doszły już do wieku, w którym mogą wstąpić w związki małżeńskie, wówczas proszą o pomoc w tym względzie rodziców, a w braku tychże najbliższych krewnych, którzy się nimi zajmowali. Następuje porozumienie z rodzicami lub opiekunami drugiej strony co do opłaty wymaganej za oblubienicę. Opłatę tę stanowią zwykle krowy i woły, a w dodatku druty mosiężne i miedziane lub szklane paciorki. Po układach oznaczają dzień ślubu, w którym narzeczony musi dać dziesięć krów i wołów swojej przyszłej żonie, jeżeli to ostatnia z zamożnej pochodzi rodziny. Nadto obowiązkiem jest jego ofiarować dziesięć krów matce swej oblubienicy, pięć każdemu z jej braci, siostrom zaś jej paciorki szklane i pierścienie ze złota, srebra, miedzi lub innego jakiegokolwiek kruszcu. Narzeczona przed zaślubinami zwyczajnie nie otrzymuje żadnego daru, ani od swego narzeczonego, ani od rodziców, i musi zadowolnić się tą cząstką ojcowizny, jaką jej po zgonie rodziców wyznaczą. Łatwo się domyślić z tego, że biednemu chłopakowi nie łatwo się ożenić.

Wielożeństwo u Dinków jest dozwolone i rzadko zdarza się spotkać zamożnego człowieka, któryby jedną tylko miał żonę. Jednak pomimo znacznej niekiedy ilości żon i dzieci pierwsza żona wraz ze swem potomstwem zajmuje pierwszorzędne w domu męża stanowisko. Gdy mąż umiera, zostawiając braci lub in-

nych krewnych, to najbliższy jego krewny musi zaślubić wdowę i opiekować się jej dziećmi. Jeżeli zmarły miał kilka żon, wówczas brat mający go zastąpić bierze je wszystkie pod swoją opiekę, lub pozwala im opuścić dom mężowski, musi jednak w każdym razie troszczyć się o ich dzieci. Łatwo zrozumieć, ile sporów i kłótni może się wywiązać między tylu dziećmi jednego ojca.

Dinkowie są poganami; czczą oni przedewszystkiem pewien gatunek węża, a ponieważ jest on nie jadowity, przeto nie wzbudza u nich trwogi. Zwykle znajduje się wąż taki w pobliżu mieszkań ludzkich w słomie lub sitowiu. Ponieważ jest spokojny i łagodny, dlatego też mają dlań krajowcy tak wielkie względy, że każda rodzina kładzie codziennie kawał z masłem w pobliżu jego schroniska.

Plemię Dinków jest pięknem, są słusznego wzrostu i silnej budowy, odznaczają się uprzejmością i wesołością. Lubią tytoń i taniec. Podczas wojny walczą mężnie, w domu zaś wobec obcych są bardzo gościnni.

Dinkowie nie posiadają żadnej cywilizacji, dlatego też niczego się nie uczą. Jedynym środkiem pedagogicznym jest przykład rodziców, od których tego się uczą dzieci, czego ich rodzice w młodości się nauczyli. A mimo to posiadają oni nieraz cnoty, jakich brak ludziom cywilizowanym. Oto ksiądz Daniel opowiadał następujące zdarzenie z swego życia:

„Pewnego razu wbrew zakazowi zjadłem jakiś owoc, zanim rodzice podług zwyczaju ofiarowali je bogom przez posypanie takowych na dziedzińcu dla uproszenia sobie błogosławieństwa. Niebawem spotkała mnie kara za ten pierwszy grzech. Ojciec domyślił się, że coś złego zrobiłem, nie chcąc mnie jednak przestraszyć, abym nie ukrył przed nim prawdy, wziął mnie łagodnie za rękę i zapytał, skąd wziąłem owoc, który na szczęście trzymałem jeszcze w ręce. Ufny w dobroć ojca, zaprowadziłem go na miejsce kradzieży. Ojciec jednak ukradkiem wziął ze sobą rózgę i tamże wymierzył mi karę, zakazując zarazem jeść owoców, zanimby były bogom ofiarowane".

Scenę powyższą widzimy właśnie na naszym obrazku.

Na pół dziki murzyn potrafił lepiej syna wychować, niż niejedna z naszych matek. Wyszło to zresztą na dobre chłopcu, bo gdy przybyli do Dinków misjonarze, słuchał chętnie ich nauk, przyjął Chrzest święty, a później sam został kapłanem-misjonarzem. Ci, którzy z nim rozmawiali w Krakowie, twierdzili, że nie ustępował on w wykształceniu księżom europejskim.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ślepa niewolnica.

Pac uścisnął rękę Żarneckiego na pożegnanie i wyjechał wśród ciemnej nocy. Jechał bez spoczynku i dostał się wkrótce na drogę bitą. Księżyc wyjrzał z za chmur i oświecił uchodzącego kanclerza, oraz drogę i otaczające ją pola.

Nagle na rozstajnej drodze ujrzał wysoką statuę Matki Boskiej i zaraz potem koń jego cofnął się z szeroko rozwartemi nozdrzami.

Co to znaczyło?

Kanclerz miał zamiar właśnie zmówić krótką modlitwę, gdy zaszło coś, co mu przerwało modlitwę, jak gdyby nie był godnym podnosić głosu do Boga.

Ukazała się nagle postać, którą najpierw spostrzegł koń i której się przestraszył.

Pac nie wierzył swoim oczom.

Przed nim stał wykrzywiony i śmiejący się strasznie Czerwony Sarafan.

Wyglądał on w tej chwili tak okropnie, że kanclerz zdrętwiał na jego widok. Stawało przed nim straszne widmo wojny i śmierci, zawdzięczające życie owej kobiecie, która już swoje zbrodnie śmiercią okupiła.

Nim Pac zdołał się uspokoić, Czerwony Sarafan, jednym skokiem skoczył za niego na konia.

Lubił on robić takie rzeczy. Śmiał się zadowolony i wydawał niezrozumiałe okrzyki.

Kanclerzowi obecność Czerwonego Sarafana na tym samym koniu bynajmniej nie sprawiała przyjemności.

— Precz stąd! — wołał w gniewie, — czego chcesz tutaj przeklęte widmo?

— Chcę jechać z tobą braciszku! — śmiał się głośno Czerwony Sarafan, — we dwóch jedzie się tak dobrze!

— Precz z mego konia, wyrzutku piekielny! — pienił się gniewem kanclerz i chciał się obrócić, ażeby użyć siły.

Było to jednak niemożebne. Sarafan siedział silnie, jak przyrosły do konia.

W tej chwili koń podskoczył dziko i puścił się wśród księżycowej nocy z dwoma jeźdźcami.

Czerwony Sarafan objął Paca i pochwycił za cugle coraz szybciej pędzącego konia. Śmiał się, gdy iskry sypały się za nimi, gdy piasek i kamienie wzbijały się w powietrze. Śmiech jego niemiły i przeraźliwy daleko rozlegał się w powietrzu.

Do strasznej jazdy był zmuszony uciekający kanclerz, nie był jednakże w stanie wydobyć się z rąk Czerwonego Sarafana. Koń pędził coraz szybciej, a Czerwony Sarafan śmiał się coraz bardziej złowrogo.

Spłoszonego konia niepodobna było powstrzymać. Przesadził on szalonym skokiem rów ciągnący się wzdłuż drogi bitej i puścił się przez pola tak szybko, że kanclerz zgubił kapelusz i włosy jego wiatr rozwiewał tak, jak rudą czuprynę Czerwonego Sarafana.

Nareszcie zaczęło świtać.

Pac zdołał wreszcie pochwycić cugle, które Czerwony Sarafan luźno trzymał w ręku. Ująwszy cugle, przyciągnął je silnie do siebie, ażeby powstrzymać konia.

Wywarło to jednak skutek przeciwny i skłoniło spłoszone zwierzę do jeszcze szybszego biegu.

Rozwidniło się.

Przed oczyma obu jeźdźców widać było długie, mgławe pasmo.

Była to Wisła, ponad wodami unosiła się mgła.

Drugim brzegiem Wisły, jechał właśnie komendant zamku, ze swoim oddziałem, poszukując ciągle kanclerza.

Nagle kilku żołnierzy zwróciło uwagę na rozpędzonego konia, na którym siedziało dwóch jeźdźców. Mgła pod wpływem promieni słonecznych rozstąpiła się i można było widzieć, tę szczególną jazdę.

Żołnierze zwrócili na nią uwagę komendanta.

— Koń jest rozbiegany, — mówili.

— Z tyłu siedzi Czerwony Sarafan, — rzekł któryś.

Koń rozbiegany zbliżał się coraz bardziej do szerokiej, mętnej rzeki.

— To kanclerz! kanclerz i widmo! zawołało kilku.

Rzeka ich dzieliła od konia, nie można zatem było myśleć o zatrzymaniu go.

— Pędzi prosto do Wisły! — rzekł komendant, — na wszystkich świętych... to okropny widok!

Teraz wszystko musiało się rozstrzygnąć.



To kanclerz i widmo.

Komendant i żołnierze stali przerażeni, nie mogąc podać żadnej pomocy. Koń nie cofnął się, lecz jednym skokiem wpadł do wody, której fale rozprysnęły się wysoko.

Kanclerz i Czerwony Sarafan trzymali się dobrze walczącego z prądem rzeki wierzchowca.

Koń przez jakiś czas płynął, następnie opuściły go siły i poszedł na dno, unosząc obu swych jeźdźców.

Po kilku chwilach pokazała się jeszcze głowa jego nad wodą.

Kanclerz i Czerwony Sarafan znikli, zostali uniesieni, prąd ich porwał.

Straszne widowisko było skończone. Kanclerz i Czerwony Sarafan znaleźli wspólnie śmierć w nurtach rzeki...

W odległem miejscu, gdzie koryto rzeki skręcało się, wypłynął po kilku godzinach trup kanclerza na płaski, piaszczysty brzeg.

Żołnierze komendanta znaleźli go, wyciągnęli na suche miejsce i przekonali się, że śmierć już dawno nastąpiła.

Czerwonego Sarafana szukali napróżno. Woda go nie wydała. Tylko jego złotem tkane trzewiki przypłynęły do wybrzeża w odległem miejscu.

Gdy komendant zamku, zdał szczegółowo sprawę o tem, co zaszło, i opowiedział śmierć Czerwonego Sarafana, Jan Sobieski nie mógł wstrzymać się od łez.

Taki był koniec nieszczęśliwego Sarafana, syna Jagiellony, który zginął razem z Pacem, ostatnim z wrogów Sobieskiego.

KONIEC.



W szeroki świat..

„Maryśce z Kamionki" w dowód przyjaźni poświęcam.

Siedziała w pokoiku sama jedna, smutna i zbolała. Ręce załamane opuściła na kolana, i patrzała przed się, w bezdeń załzawionemi oczyma. Wargi rozdygotane szeptały słowa modlitwy. Co spojrzy na stół staruszka, i rzuci okiem na leżący list, to nowe westchnienie pierś jej podnosi, i nowa łza toczy się po poranem licu.

I na toż jej przyszło niebodze, by ją własne dziecię rzuciło? Poszła samowolnie hen, w szeroki świat, by w służbie wielkiego miasta szukać łatwego zarobku i lekkiego chleba. A ją, matkę starowinę rzuciła, stojącą już nad grobem może! I nie powiedziała jej nawet: Z Bogiem!... Umknęła pokryjomu, nie słuchając przestróg i perswazji matczynych, a tylko list ostatni z pożegnaniem. A widać z niego było, że idzie w świat radosna i pełna złudnych nadziei...

Zadumała się smutnie staruszka, wznosząc błagalno-bolesne spojrzenie na obraz Tej, co Matką jest wszystkich strapionych.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Drogą przez las idzie młoda ładna dziewczyna, z tłumoczkiem w ręce. Śpieszy się czegoś gorączkowo i nie zważa prawie na dojmujące zimno. Wiatr wył przeraźliwie, a czasem wycie to przeradzało się w jakieś niesamowite śmiechy. Dziewczyna drży z zimna, lecz idzie odważnie przed się smagana niemiłosiernie ostremi uderzeniami lodowatego wiatru.

Na rozstajach stoi stary, zmurszały już od starości krzyż. Zatrzymała się u stóp jego dziewczyna, i zmówiła krótką modlitwę. Potem jakby się zawahała, cofnęła się wstecz, i znów postąpiła parę kroków naprzód. Na twarzy jej malowała się widoczna walka. Walczyły w niej dwie potęgi: dobra i zła! Jedna szepce:

— Wróć się do matki, oszczędzisz jej zgryzot i łez!

A druga znowu:

— Nie bądź głupia! Idź za głosem swych pragnień; w mieście czeka cię nowe życie pełne przyjemności i szczęścia, — chodź!

A ona się waha i nie wie, w którą iść stronę? I matki jej żal, i miasto ją nęci i wabi swem życiem pełnem rozrywek i zabaw...

I zwyciężyło to drugie. Dziewczyna idzie już śmiało przed się po mniemane szczęście. Już nie patrzy poza się, gdzie zostawia samotną matkę, bo tam w dali, jakby z poza mgły, wyłaniają się do niej cudne wizje jej marzeń, może to urzeczywistnienie jej złotych, dziewczęcych snów się zbliża?

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W mieście ruch nadzwyczajny. Wieczorami powozy suną ulicami i zatrzymują się przed domami oświetlonymi rzęsiście. Muzyka dźwięczy rozgłośnie aż szyby w oknach drżą. Przecie to karnawał! Wszystko się bawi i szaleje, porwane wirem rozedrganych ludzkich namiętności.

A tam w zaułkach ileż się gnieździ nędzy, chorób i zbrodni! Ci możni, pod pretekstem koniecznej rozrywki po „ciężkiej" pracy hulają do rana i wyrzucają

setki na rozpustę, byle dogodzić swym żądzom uciech. Ileż dobrego możnaby zrobić za te lekkomyślnie przetrwonione pieniądze? Ileż łez otrzeć, ile złagodzić nędzy?!

Na rogu jednej z ulic stała wspaniała willa, błyszcząc uzwierciadlonemi szybami okien. W oświetleniu jednego z nich stoi wspaniała postać kobieca, w kosztownej jedwabnej sukni, a dwie służebne uwijają się przy niej żywo dopełniając braków garderoby. Po chwili wszystko już gotowe! Pani przejrzała się w dużem lustrze od stóp do głowy z widoczną przyjemnością i zadowoleniem.

— A teraz, moja Kasiu, podaj no mi tę szkatułkę z pierścieniem, który onegdaj przyniosłaś od złotnika!

Kasia zaczerwieniła się, strasznie zmięszana, ale pobiegła po żądane pudełko.

— Oto jest, proszę pani, — i przy tych słowach otworzyła je.

Sięgnęła pani swą wypieszczoną rączką, i w pół drogi ją zatrzymała, — pudełko było puste!

— Co to ma znaczyć, Kasiu, — gdzie pierścionek?

— Ja nie wiem, może Marcysia będzie wiedziała, rano robiła tu porządki.

— Przywołaj mi ją zaraz!

Kasia wybiegła. Po chwili Marcysia stała już przed swą panią spokojnie. I ona nie umiała powiedzieć, gdzie się podział pierścień. Szukano wszędzie, przerzucono i przetrzęsiono wszystkie skrytki, lecz zguby nie znaleziono.

Niepostrzeżenie wsunęła się Kasia, rzucając jadowito-złośliwy uśmieszek w stronę zmartwionej daremnem szukaniem Marcysi. Nienawidziła jej za to, że była uczciwą i nie dała się namówić na złe, a u pani była w łaskach. Teraz udawała, że pomaga w szukaniu. Pani już się niecierpliwiła i poczęła tupać gniewnie wytworną nóżką. Gdy Marcysia schyliła się, by poszukać pod szafą, zręczna Kasia poszepnęła coś pani, a po chwili wszystkie trzy już były w pokoiku Marcysi. W kąciku leżała duża walizka w połowie zapakowana do wyjazdu. Nazajutrz Marcysia miała wyjechać na parotygodniowy urlop do matki, której od szeregu lat nie widziała. Miała rzeczy w walizce starannie ułożone, a teraz na rozkaz pani, Kasia, ta złośliwa dziewczyna wszystko z niej poczęła wyrzucać i przetrząsać brutalnie. Biedna Marcysia stała spokojna lecz blada z oburzenia na tak straszne podejrzenie rzucone na nią. Ostatnią już rzecz wyrzuciła, gdy w tem, coś z brzękiem upadło na podłogę...

Kasia pochyliła się, i z tryumfem podniosła błyszczącą obrączkę i podsunęła ją pod nos osłupiałej i pobladłej z trwogi Marcysi.

— A widzisz! ty zdrajczyni! — skąd się tu wziął w twojej walizce? — może sam się wkulnął? co? ty! złodziejko!... Aż mi wstyd, że tak długo musiałam znosić twoje towarzystwo, ale teraz, myślę, skończy się tu twoje panowanie, ty, świętoszko z pod słomianej strzechy!

Pani na tak oczywisty dowód, rzekomej winy Marcysi nie posiadała się z gniewu i oburzenia, a choć nie była zła, to jednak była prędka w gniewie i wcale nie zastanawiała się nad rzeczą. a że jej i pilno było, to też nie słuchała usprawiedliwień i zaklęć biednej, zalewającej się łzami Marcysi i kazała jej się natychmiast usunąć ze służby, napiętnowanej jako złodziejka

Rozpłakała się biedna dziewczyna. I toż ją spotkało po kilku latach wiernej służby?

I znów była zima. Wiatr hulał po polach, miotając śniegiem. Mróz był kłujący, że łzy z ócz wyciskał. Zadymka brała. Widno jeszcze było. Leśną drożyną szła dziewczyna pochylona pod ciężarem dźwiganych tobołków. Wiatr smagał ją po twarzy, miotając śniegiem w oczy. A ona szła, z trudnością, posuwając się naprzód po zaspach śnieżnych, co utworzyły się na drodze. Na rozstajach czerniał krzyż. Zatrzymała się u stóp jego, jak ongiś przed laty i łzy strumieniem rzuciły się jej z ócz i spadały lodem na śnieg...

— Boże mój miłosierny! I za co, za co taką mi krzywdę wyrządzili? Czemużem nie zawróciła wtedy! — Żaliła się biedna Marcysia u stóp miłosiernego Pana. Lecz nie czas biadać, a iść trzeba, bo noc zapada, droga ciężka a jej tak spieszno do objęć matczynych...

A ona matka staruszka jak ongiś przed laty, siedziała smutna w tej samej izdebce, i sercem matczynem wyczuwała bliskość ukochanej córki, której nie pamiętała nawet samowolnego odejścia w świat...

I oto przeczuwała, że dziecię jej blizko, więc płakała z radości.

Włos jej pobielał i otoczył nimbem jej twarz łagodną, zradloną częstemi łzami.

Na dworze wicher wył i z siłą rzucał o szyby okien śnieżną kurzawę. Wsłuchiwała się w każdy szmer w nadziei, że posłyszy już, już kroki wracającego dziecka. Zapatrzyła się we drzwi.

I rozwarły się drzwi niskiej chaty. Wionął przez nie chłód lodowaty, a wraz się wtoczyła postać kobieca cała ośnieżona i z krzykiem przypadła u kolan staruszki:

— Mateńko! — przebacz!...

— Córuś! — wróciłaś!...

Marja Wawrzykówna.

Jubileusz działacza.

Piszą nam z Sędziszowa: W końcu ubiegłego roku odbył się w Sędziszowie jubileusz 20 letniej pracy społecznej i humanitarnej p. Władysława Worka naczelnika urzędu pocztowego w Sędziszowie. P. Worek pracuje niezmordowanie od długiego szeregu lat jako wybitny filantrop i idealista. Zakłada czytelnie, ochotnicze straże pożarne, a w r. 1915 po wybuchu wojny światowej organizuje oddziały legjonowe wspólnie ze ś. p. posłem Rusinem. Dalej stara się o uboga ludność, aby nie ucierpiała głodu, a jako radny miasteczka Sędziszowa nie dopuszcza do rekwizycji i pożyczek austrjackich, za co był przez władze austrjackie szykanowany. W r. 1920 z tytułu przewodniczącego komitetu obrony państwa zbiera artykuły żywności dla wojska, które specjalny posłaniec odwozi co tydzień do wojskowej stacji posiłkowej w Rzeszowie; organizuje zbiórkę metali, srebra, miedzi, mosiądzu i t.p. Niema jednej placówki, jednego ogniska pracy gdzieby zabrakło p. Worka, wszędzie chętny, energiczny i pełen najlepszych myśli. Za pracę swą p. Worek otrzymał mnóstwo dokumentów pochwalnych i dziękczynnych, zaś za zasługi dla ochotniczych straży pożarnych został odznaczony gwiazdą pamiątkową II kl. przez Małopolski Związek straży pożarnej we Lwowie, a dwukrotnie srebrnym medalem zasługi, oraz medalem złotym przez Główny Związek straży poż. w Warszawie. Z okazji 10-lecie odrodzenia Polski zakłada fundusz wdów i sierót po strażakach, za co go Związek wojewódzki mianuje dozgonnym kuratorem tego funduszu. Nie piszę tu hymnów pochwalnych o p. Worku, ale z przyjemnością stwierdzam piękne fakty i rezultaty jego pracy, z tą wiarą, że za jego przykładem pójdą i inni a im więcej będzie takich jak on w naszem społeczeństwie tem silniejsza i bogatsza będzie Ojczyzna nasza! *Rex.*



Władysław Worek.



Poradnik gospodarczy.

Żywokost jako środek tuczący.

Żywokost jest rośliną o dużych, jajowatych, szorskich liściach, dzwoneczkowatych kwiatach — z początku różowych, później niebieszczejących i czarnych, mięsistych korzeniach. Roślina ta jest dość pospolita w całej Polsce na wilgotnych łąkach, na brzegach stawów i rzeczek. Nazwę swą „żywokost" otrzymała stąd, że lud od niepamiętnych czasów używał odwaru z korzeni tej rośliny przy złamaniach kości jako doskonałego środka, gojącego rany i przyspieszającego zrastanie się kości. Korzenie żywokostu można znaleść zawsze u znachorów i znachorek, którzy zalecają odwar z tych korzeni do gojenia zastarzałych ran, np. wrzodów na nogach, ran t. zw. zastrzałe i t. p., a także zalecają pić ten odwar przy ostrych katarach żołądka i przy suchotach płucnych, zwłaszcza połączonych z krwiopluciem. Te wskazania znachorów są zupełnie słuszne, albowiem badania naukowe, przeprowadzone w Anglji wykazały nadzwyczajne gojące właściwości tej rośliny. Mianowicie Dr. Macalister, robiąc doświadczenia w swej klinice chirurgicznej w Edynburgu, stwierdził, że zastarzałe wrzody goleniowe, których nie mógł wyleczyć innemi sposobami w ciągu pół roku, goiły się od żywokostu w dwa tygodnie. Żywokost zawiera osobliwą substancję, zwaną allantoiną, która pobudza szybki rozrost komórek i tkanek nietylko w ranach, lecz nawet w zdrowym organiźmie, jeżeli żywokost zostaje przyjmowany do wewnątrz. O tym fakcie wiedzieli już oddawna hodowcy zwierząt w Anglji i Ameryce, którzy hodują tam żywokost, jako paszę dla cieląt i prosiąt. Zwierzęta młode otrzymujące jako dodatek do paszy ziele żywokostu, rozwijają się szybko i doskonale się tuczą.

Na paszę używa się ziele, które się tnie na sieczkę, parzy tak, jak pokrzywę, a następnie miesza z kartoflami i mąką i daje zwierzętom. W czasie zimy można brać korzenie.

Hodowla żywokostu jest dość łatwa, tylko wymaga dobrej ziemi, mianowicie wilgotnej i żyznej. Na ziemiach, na których udaje się kapusta, będzie rósł dobrze i żywokost. Chcąc zaprowadzić plantację, należy wykopać na łąkach lub w zaroślach krzaczki żywokostu rozsadzić je w grządkach. Krzaczki można dzielić nawet na kilka części. Raz posadzony żywokost rozmnaża się później sam z nasion, a nawet z kawałków korzeni, które zostały po wykopaniu, tak, iż nieraz trudno go bywa wytępić. Dlatego pod hodowlę żywokostu trzeba wybrać jakiś kąt w ogrodzie lub na łące, który będzie tylko dla niego przeznaczony. Już w maju żywokost rozwija na dobrej ziemi pęki dużych (jak w chrzanie) szorstkich liści, a następnie wypuszcza grube soczyste, na metr wysokie prawie, łodygi. Otóż od wiosny aż od późnej jesieni można obrywać części liści i zrzynać wierzchołki soczystych łodyg na paszę dla młodych zwierząt a nawet ptactwa albowiem kurczęta, młode kaczki, indyki, gęsi i drób dorosły chętnie zjada karm, złożony z kartofli, mąki i drobno posiekanego ziela żywokostu. Zwierzęta i ptaki, karmione w ten sposób, rosną i rozwijają się bardzo szybko. Kto chce, aby kury niosły się dobrze w zimie, niech suszy w ciągu lata liście żywokostu (suszyć należy nie na słońcu, lecz w cieniu, np. na strychach lub przyzbach), rozciera je na proszek gruby i przechowuje w miejscu suchem (najlepiej w workach, zawieszonych na strychu). W zimie dosypuje się z proszkowanych liści do pokarmu dla drobiu, naturalnie nie zapominając również o dawaniu jednocześnie ziarna.

Żeby nie wyczerpać zbytnio swej plantacji żywokostu nie należy przy zbieraniu zrywać wszystkich liści i łodyg z krzaku żywokostu, lecz zostawiać przynajmniej jeden lub dwa pędy, które będą mogły zakwitnąć, wydać nasiona i służyć do samozasiewania plantacji. Przy większej plantacji można takową podzielić na kilka części i korzystać z każdej kolejno przez kilka tygodni w ciągu roku.

W jesieni, gdy zaczynają się przymrozki, można ściąć resztę ziela i zrobić z niego kwaszonkę dla zwierząt lub wysuszyć. Korzenie, gdy się rośliny rozrosną po roku lub dwu mogą być wykopywane w jesieni, przechowywane jak kartofle w kopcach i dodawane do paszy w ciągu zimy (po uprzedniem opłukaniu, od piasku). Korzenie mają również zastosowanie w lecznictwie, jak to wspomniałem na początku tego artykułu. Jeżeli chcemy spieniężyć korzenie do aptek lub składów aptecznych, należy je po wykopaniu w jesieni obmyć starannie, oczyścić od resztek łodyg i części zepsutych, grubsze poprzecinać wzdłuż i wysuszyć koło pieca; najlepiej je w tym celu naciągnąć na sznurki i zawiesić koło pieca lub w ciepłej izbie.

Za suche, czyste korzenie żywokostu płacą 1 do 1.50 zł. za kg.

Zaznaczyć tu muszę wyraźnie, że jest to roślina zupełnie nietrująca, używanie jej przeto w charakterze paszy lub leku nie zagraża nigdy zdrowiu.

Kto zechciałby się zapoznać z tą rośliną i otrzymać próbne sadzonki, niech się zwróci w kwietniu, maju lub w ciągu lata do Ogrodu Roślin Lekarskich Uniw. St. Batorego — Wilno, ul. Objazdowa Nr. 2, Zakład Farmakognozji. *Dr. J. Muszyński.*

Poradnik kucharski.

Klops. Dwa funty mięsa usiekać z pół ćwierci funta świeżego łoju, dodać 1 w mleku moczoną bułkę, pół ćwierci funta słoniny pokrajanej w kostkę, jedną siekaną cebulę, trochę soli i pieprzu, jedno jajo, zmieszać wszystko razem zrobić podłużny klops, posmarować białkiem i dać do rondla na rozpalone masło, przed wydaniem podlać śmietaną.

Klopsy z musztardą lub z grzybami. Zagotować rosół z odpadków mięsnych również z korzeniami i cebulą, przeklarować przez sito i zdjąć tłuszcz. — Włożyć do tygla spory kawałek masła, zaprażyć w nim białawo mąki, ile do sosu potrzeba, dolać do tego sklarowany rosół, skoro się mąka wygotuje, włożyć klopsy. Teraz zamieszać sporo angielskiej musztardy, mniej więcej na 25 klopsów czubatą łyżeczkę — dodać obficie kaparów i grzybów, dalej cukru, trochę korzeni i tyle octu, aby sos od tego był dosyć kwaskowaty. Musi on być kleisty, mieć piękny kolor żółtawy i nie być zbyt słodki.

Klops. Dobrego mięsa wołowego (można także dać razem z wieprzowem, lub baraniem, albo to ostatnie samo) naskrobać nożem jak najdelikatniej, potem przyrządzić następujące ciasto: Na jeden kilogr. delikatnie skrobanego, lub siekanego mięsa wziąć 4 jaja, małą kwaterkę tartej bułki tyleż odgotowanych, tartych ziemniaków, $^{1}/_{8}$ litra stopionego masła, 2 łyżki stołowe śmietany, soli, pieprzu tłuczonego, i trochę cebuli. To wszystko dobrze wyrobić.

KRONIKA.

Mrozy w Europie. Z całej Europy nadchodzą wiadomości o niebywale silnej fali mrozów, które obejmują całą Europę od Danji aż do Włoch. W Niemczech temperatura obniżyła się do 12 stopni poniżej zera. Opady śnieżne nie przyczyniły się do zmniejszenia mrozu. Te same wiadomości przynoszą stacje meteorologiczne z innych krajów Europy, Tak n. p. zanotowano w południowej Francji 13 stopni poniżej zera. Tak niskiej temperatury od dawna w tych stronach nie notowano. We Włoszech zamknięto niektóre szkoły z powodu mrozów i śniegów, które spadły na 10 do 30 cm. Ze wszystkich krajów Europy nadchodzą wiadomości o przerwach w ruchu kolejowym. Nad Rivierą szalała burza rozmiarów cyklonu przez kilka godzin, wyrządzając wielkie szkody. Prawie wszystkie okręty w portach zostały zerwane z kotwic, a w miejscowościach nadbrzeżnych i w zakładach na wybrzeżu fale wyrządziły ogromne szkody. Na całej Rivierze leży śnieg na kilkanaście cm. We Florencji spadł śnieg tak wysoki, że cała komunikacja tramwajowa została przerwana.

Z Pomorza donoszą, że całe wybrzeże otaczają zwały lodów na 10 mil morskich. Okręty ugrzęzły w nich i nie mogą przybić do brzegu. Mróz jednak ma się ku końcowi gdyż w chwili, gdy to piszemy (sobota 19 bm.) zapowiadają meteorologowie odwilż. Gdyby ich przepowiednie się sprawdziły, to nim Czytelnicy otrzymają niniejszy numer, juz byłoby ciepło. Ano zobaczymy.

Katastrofa kolejowa. Lwowska dyrekcja kolei podaje: 14 b. m. stanął w śniegu na szlaku Rudańce-Kłodno na linji Lwów Sapieżanka na kilometrze 24 pociąg towarowy nr. 2371. Celem udzielenia mu pomocy wysłano na miejsce zatrzymania się pociągu pociąg osobowy; nie czekając na przybycie pomocy parowóz pociągu towarowego ruszył ze szlaku i spotkał się w drodze z pociągiem osobowym, przyczem nastąpiło zderzenie, skutkiem czego zabity został kierowca pociągu osobowego Bidny a kilku z personalu odniosło lżejsze rany. Z pasażerów złamania podudzia doznał Lejb Silberman, a trzech innych odniosło lekkie kontuzje. Na miejsce wypadku pospieszył ze Lwowa pociąg ratunkowy z lekarzem.

Żywcem ugotowany. Do Rzęsny Polskiej koło Lwowa przybył z Wiednia inżynier Zalcman, zaangażowany przez firmę Oikos jako maszynista-fachowiec tartaczny. Kiedy inż. Zalcman przystąpił do pracy, zdarzył się tragiczny wypadek. W trakcie montowania zdefektowanego kotła parowego nagle otwarły się wszystkie wentyle, przyczem inżynier otoczony morzem gorącej pary został formalnie żywcem ugotowany. Przewieziono go do szpitala, gdzie niebawem zmarł. Ciało jego przedstawiało jedną wielką ranę. Biedny człowiek nie pracował ani dnia na nowej posadzie.

Dwa trupy w zaspie śnieżnej. Pod Ciechanowem znaleziono w zaspie śnieżnej zwłoki dwóch mężczyzn z krwawemi ranami na głowach. Stwierdzono, że są to twaj gajowi Konstanty i Józef Byszniewscy. Zabici oni zostali w pościgu za kłusownikiem. Przedsięwzięte przez policję dochodzenia doprowadziły do aresztowania niejakiego Henryka Zmorzyńskiego, znanego w okolicy kłusownika. Jako dowody najbardziej obciążające posłużyły przeciwko niemu znalezione na lufie jego strzelby dwie igły z jałowca, oraz przebitka tekturową z lufy tego samego koloru, jakiej kawałek znaleziono w lesie, w którym zabici zostali obaj gajowi. Zmorzyński przyznał się do tego czynu. Z zeznań jego wynika, że Byszniewscy spotkali go w lesie, gdy polował na zające i zaczęli go ścigać, chcąc mu odebrać strzelbę. Zmorzyński w pewnym momencie odwrócił się i z odległości kilku kroków oddał dwa strzały do ścigających go, raniąc obu śmiertelnie w głowy. Zwłoki ich następnie pogrzebał w śniegu.

Ujęcie szajki bandytów. Policja w Łodzi zlikwidowała niebezpieczną bandę złodziejską, która od dłuższego czasu grasowała w mieście i okolicy. Przywódcą bandy jest student Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, niejaki Juljan Kohn, który w swoim czasie skazany został na 5 lat ciężkiego więzienia za kradzież futra profesorowi tego Uniwersytetu. Wraz z nim ujęto trzech członków bandy i wszystkich osadzono w więzieniu śledczem.

Łup zgłodniałej wilczycy. Z Wilna donoszą: Wielkie mrozy, panujące w całej Wileńszczyźnie, spowodowały, iż stada zgłodniałych wilków wyległy na drogi i zbliżają się do siedzib ludzkich. W ubiegłym tygodniu do folwarku Zabiele koło Dukszt podkradła się zgłodniała wilczyca, wdarła się do mieszkania, porwała z łóżeczka roczną córeczkę właściciela folwarku. Nim stara piastunka dobiegła do drzwi, wilczyca była już w lesie. Na alarm kobiety zorganizowano natychmiast wielką obławę, w której wzięła udział służba folwarczna, policja oraz żołnierze z oddziałów korpusu ochrony pogranicza. Kordon ludzki z pochodniami opasał całą najbliższą okolicę, przetrząśnięto wszystkie zarośla, niestety, bez rezultatu.

Po stronie rosyjskiej napady wilków wzmagają się z dnia na dzień. Ludność boi się wydalać z mieszkań, aby nie stać się ich pożywieniem. Świeżo donoszą o zaciętej walce dwóch pogranicznych żołnierzy bolszewickich z gromadą wilków.



Jeden z żołnierzy, widząc nadbiegające w szybkich skokach bestje, zdołał wdrapać się na pobliskie drzewo. Opadnięty drugi bronił się w końcu bagnetem, w walce otrzymał jednak wiele okrutnych ran. Od niechybnej śmierci uratował go kolega, który celnymi strzałami wybił wszystkie, na szczęście kolejno nadbiegające, rozżarte wilki.

Katastrofa w kinie. We Włocławku wydarzyła się w kinie w czasie przedstawienia kabaretowego katastrofa. Publiczność zapełniła na tem przedstawieniu szczelnie salę, a szczególnie przepełniona była galerja pierwszego piętra. W pewnym momencie, gdy oklaskiwano po produkcji jednego z aktorów i publiczność na galerji tupała przytem nogami, a część jej zbytnio wychylała się przez balustradę, nagle urwała się część galerji i wraz ze znajdującymi się na niej ludźmi spadła na parter. Wśród publiczności powstała niesłychana panika, wszyscy rzucili się do ucieczki, pchając się i przewracając wzajemnie, tak, że momentalnie wszystkie wyjścia zostały zatarasowane. Komendantowi policji z trudem tylko udało się opanować sytuację. Ogółem jest 14 osób lżej lub ciężej rannych, które po opróżnie-

niu sali wydobyto z pod belek, desek i gruzów zawalonej galerji.

Przymarznięty język. W Tylży sześcioletnia dziewczynka podczas przechadzki wzdłuż brzegu Niemna z żartów przyłożyła język do białego od mrozu żelaznego łańcucha mostu. W okamgnieniu język przymarzł do żelaza. Wszelkie usiłowania matki, by uwolnić dziecko od strasznej sytuacji, spełzły na niczem. Dokonali tego dopiero przechodnie, lecz kawałek języka pozostał na łańcuchu.

Żydzi-chrześcijanie. Z Wilna donoszą: W ostatnich dniach w Wilnie nawróciło się na katolicyzm i zostało ochrzczonych kilka osób z pośród miejscowych żydów. Spodziewane są dalsze nawrócenia, a chrzest paru innych odbędzie się niedługo. Istnieje projekt powołania do życia zrzeszenia nawróconych. Organizacja ta miałaby na celu zbliżenie wszystkich nawróconych między sobą, oraz pogłębianie zasad wiary katolickiej. Językiem wykładowym byłby żargon. Byłaby to pierwsza organizacja żydów katolików w Polsce.

Bunt bezrobotnych. W Birżach na Litwie kowieńskiej wybuchł bunt bezrobotnych. Bezrobotni w liczbie około 300 ludzi zorganizowali demonstrację. Gdy na żądanie policji demonstranci nie chcieli się rozejść, kilku przywódców ruchu uwięziono i osadzono w aresztach. Wówczas bezrobotni włamali się do aresztów i uwolnili swych uwięzionych przywódców. Policja w starciu z bezrobotnymi użyła broni palnej, skutkiem czego 1 osobę zabito, a 8 raniono. Dopiero interwencja wojska położyła kres zajściom.

Bezczelny napad bandytów. Z Wrocławia donoszą: W ubiegłym tygodniu wtargnęło dwóch zamaskowanych bandytów do pewnej restauracji i rozpoczęło strzelaninę na oślep do gości. Trzech gości zostało ciężko rannych, z których dwóch zmarło. Reszta gości oraz właścicielka restauracji uratowali się ucieczką. Po tym czynie bandyci zrabowali kasę podręczną z większą kwotą pieniędzy oraz trzy blaszane skarbonki i dwie teczki z papierami wartościowemi i zbiegli. Prezydent rządowy wyznaczył 1000 marek nagrody za wykrycie sprawców.

Bezrobotni w Niemczech. Liczba bezrobotnych w Niemczech wzrasta w zastraszającem tempie i dochodzi do dwóch i pół miljona osób. Urzędy statystyczne alarmują czynniki rządowe w obawie przed ostrym kryzysem. Cyfra ta jest największa od czasów inflacji.

Bohaterstwo 12-letniej dziewczynki. Gazety wiedeńskie donoszą o wzruszającem do głębi poświęceniu i bohaterstwie małej 12 letniej dziewczynki. W małym domku w miejscowości Percban w Styrji mieszkała robotnicza rodzina Eiblów, składająca się z rodziców i pięciorga dzieci. W czasie nieobecności rodziców nastąpił wybuch bańki z benzyną, stojącej blisko rozpalonego pieca. W jednej chwili stanął cały pokój w płomieniach. Najstarsza, 12-letnia siostrzyczka, mimo ciężkich ran, odniesionych w czasie wybuchu, z bohaterską odwagą wyniosła naprzód z płomieni najmłodsze półroczne dziecko. Następnie z niezwykłą pogardą śmierci wdzierała się do płonącego domku jeszcze trzykrotnie i wyniosła resztę rodzeństwa. Dokonawszy tego wielkiego czynu, mała bohaterka zemdlała i wkrótce potem zmarła wśród strasznych męczarni wskutek odniesionych poparzeń. Dwu jej braciszków, 3 i 6-letni, wyzionęło ducha, zanim nadeszła pomoc.

Beatyfikacja błogosławionych. Z Rzymu donoszą: W 1929 r. Kościół katolicki podniesie do godności błogosławionych: 1) Księdza Jana Bosco, założyciela zakonu Salezjanów. 2) Teresę Małgorzatę Redi, Karmelitankę Bosą, zmarłą w 1770 roku. 3) Franciszka da Camporosso, braciszka z zakonu Kapucynów, zmarłego w r. 1865. 4) Ojca Kjaudjusza de la Colombiere, Jezuitę, b. ojca duchownego św. Małgorzaty, Marji Alacoque, podniesionej do godności świętej przez Benedykta XV. 5) Kosmę da Carboniano, księdza armejskiego, zamęczonego w r. 1707. Jest również wszelkie prawdopodobieństwo, że w tym roku jubileuszowym będzie beatyfikowana Paulina Frasinetti, założycielka sióstr św. Doroty. Nie jest przewidziane, aby poza powyższemi beatyfikacjami byli jacyś błogosławieni, podniesieni do godności świętych. Prawdopodobnie uświęcanie błogosławionych, których procesy świętości są na ukończeniu, odbędzie się w roku 1930.

Zamordowanie księdza. Ks. Gossier, proboszcz w Saint Quintin, we Francji, wyszedł dnia 9 lipca roku zeszłego z domu i — nie wrócił więcej. Ów 72 letni staruszek oświadczył domownikom, że jedzie w odwiedziny do swych przyjaciół. Miał on przy sobie 700 franków. Obecnie znaleziono zwłoki jego w stanie zupełnego rozkładu w lasku Vivien de Medoc. Nie ulega najmniejszej kwestji, że proboszcza bandyci zabili i obrabowali.

Zamykanie świątyń w Rosji. Władze sowieckie w Aserbejdżanie zamknęły 74 meczetów, 9 cerkwi prawosławnych i 4 synagogi. Budynki obrócono na kluby komunistyczne, lub zamieniono na mieszkania. Związki religijne zwróciły się telegraficznie do Kalinina z prośbą o cofnięcie zamknięcia. Kalinin zatwierdził jednak zarządzenie władz miejscowych.

Nienawiść do bolszewików. We wsi Podlesowie gubernji Niżegorodskiej był jeden jedyny komunista nazwiskiem Frołow. Przed kilku dniami chłopi, wrogo usposobieni wobec rządu sowieckiego, napadli na Frołowa i w bestjalski sposób go zamordowali. W sprawie tej wdrożone zostało dochodzenie sądowe.

Syn nosiwody królem. W grudniu ubiegłego roku wybuchło powstanie w Afganistanie w Azji z tego powodu, ponieważ król Amanullah chciał urządzić swój kraj na wzór europejski. Król przegrał, zrzekł się tronu i opuścił kraj. Następcą jego został brat starszy, ale i ten po trzech dniach musiał ustąpić. Obecnie władzę objął przewódca powstańców Chabibullah. Wydał on odezwę, w której zapowiedział, że obejmuje naczelne dowództwo wszelkich afgańskich sił zbrojnych. Ministrem wojny został jenerał Nadir Khan, jeden z najbliższych współpracowników króla Chabibullaha podczas ostatnich walk. Nowy król przyjął przedstawicieli duchowieństwa i oświadczył im, że wszelkie reformy poprzedniego króla będą wycofane oraz że będzie przywrócony kalifat. Nowy król nazywał się poprzednio Bacza Saquac i jest synem nosiwody. Dawniej był on hersztem bandy zbójeckiej i zyskał popularność wśród ludności, ponieważ rabował tylko ludzi bogatych, a część łupów oddawał biednym.

Rzeź Anglików. Według doniesień z Nowej Gwinei wybuchło tam powstanie kilku tysięcy Papuasów, pracujących na plantacjach. Powstanie to, które z początku nie miało form groźnych, rozrosło się dzięki przejściu policji na stronę rewoltantów. Kilka osiedli, znajdujących się w rękach administracji angielskiej, zdobyto, przyczem Anglicy zostali wymordowani. Miasteczko Granville spalono.

Miljon dolarów za żonę. Zdemobilizowani po ostatecznem zwycięstwie nacjonalistów żołnierze chińscy, rzuceni na łaskę losu, nie cofają się przed niczem dla zdobycia środków utrzymania. Rozbójnicy, rekrutujący się z dawnych żołnierzy, górują nad „fachowcami" chytrością i zuchwalstwem. Żołnierze-rozbójnicy wypłatali naczelnemu wodzowi wojsk nacjonalistycznych, obecnie

zaś szefowi rządu, Czang-kai-czekowi niezwykłego figla. Generał ten znany jest jako człowiek bardzo bogaty. Nie było to, oczywiście, tajemnicą dla dawnych podkomendnych. Postanowili więc uprowadzić własną jego żonę i pobrać za nią wielki okup. Porwanie zorganizowano znakomicie. Rabusie kupili samochód dokładnie tej samej marki, jakiego używa żona prezesa ministrów, Czang-kai-czeka; urządzili samochód aż do najmniejszego drobiazgu zupełnie tak samo, jak wygląda samochód pani premjerowej. Żona Czang-kai-czeka (działo się to w Szanghaju) wybrała się w automobilu do szpitala, gdzie jako chora leżała jedna z jej znajomych. Dojechawszy na miejsce, dała szoferowi rozkaz, by jechał do domu, gdyż ona wrócić pragnie pieszo. Ledwie oddalił się wóz Czang-kai-czeka, ukazał się samochód rozbójników. Przy kierownicy siedział szofer, do złudzenia podobny i tak samo ubrany, jak szofer pani premjerowej. Samochód czekał jakiś czas przed szpitalem; gdy żona premjera chińskiego wyszła, siadła do samochodu, zapomniawszy widocznie o danem poprzednio poleceniu; szoferowi kazała jechać do domu. W ciągu kilku minut samochód znalazł się za miastem. Widząc, że nie jedzie do domu, żona Czang-kai-czeka zaczęła głośno wzywać pomocy nikt jednak nie zwrócił na jej wołania uwagi. Dopiero za miastem auto zwolniło biegu, do samochodu wsiedli dwaj rozbójnicy, którzy zajęli miejsca obok porwanej. Postępowali z nią wprawdzie bardzo grzecznie, lecz dla pewności trzymali jej przed głową rewolwer. Pojechano dalej; przybywszy nad rzekę, przewieziono porwaną na wyspę. Następnego dnia w gabinecie Czang-kai-czeka zjawił się elegancko odziany mężczyzna i podał mu zwykłą w takich wypadkach prośbę o okup. Generał mocno się zdziwił, że rabuś zdobył się na odwagę przybycia osobiście; zapytał więc go, czy nie boi się o życie. Wysłannik uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie boję się wcale, bo gdybym jutro zrana nie wrócił do swoich towarzyszy zdrów i cały, pańska żona w jednej chwili przestałaby żyć.

Czang-kai-czek zrozumiał. Wykupił żonę, zapłaciwszy miljon dolarów. Cała sprawa trzymana była w tajemnicy, a żaden dziennik chiński nie napomknął o niej bodaj jednem słowem.

Plaga młodocianych mężatek. Po wojnie Amerykanki wychodzą w nader młodym wieku zamąż. Jak wynika z obliczeń statystycznych, w roku ubiegłym zawarło związki małżeńskie 350 tysięcy dziewcząt w wieku poniżej lat 16-tu! Niektóre stany, między innymi stan Nowojorski, zezwalają 14-letnim dziewczętom pojęcia mężów bez zgody rodziców. Że jednak procent nieszczęśliwych małżeństw wzrasta w sposób zastraszający, na porządku dziennym w Stanach Zjednoczonych jest reforma prawa małżeńskiego, podwyższającego wiek osób — wstępujących w związ i małżeństwie.

Dywan cesarski. Przed 400 laty w Persji sporządzono dywan, który stał się później własnością cesarskiej rodziny austrjackiej. Po przewrocie dywan „cesarski" powędrował z Wiednia za granicę. Obecnie nabył go dla siebie w Londynie pewien Amerykanin, płacąc 200 tysięcy dolarów.

Niezwykły obrońca. Dwaj indyjscy włamywacze postanowili obrabować pałac maharadży z Jajpuru. Udało się im zmylić czujność straży i wtargnąć do pałacu, a nawet zawrzeć przyjaźń ze strażą. Po kilku dniach plan zamachu na skarbiec był już przygotowany. Włamywacze urządzili małą ucztę, na którą zaprosili straż i służbę pałacową. Potrawy zawierały opium i oczywiście wkrótce ujawnił się skutek narkotyku. Gdy straż i służba zasnęli, bandyci udali się do skarbca maharadży. Ku ich przerażeniu zauważyli przed drzwiami komory olbrzymiego lamparta, który rzucił się na jednego z bandytów i rozszarpał go, zaś drugiego zaszachował w ten sposób, że przerażony rabuś zmuszony był szukać schronienia pod łóżkiem. W kryjówce swojej wytrwał całą noc, broniąc się przez całą noc zaświeconą latarką kieszonkową. Rano nastąpiła zmiana straży i służba znalazła bandytę w kryjówce.

Trumny na głowach. Co kraj, to obyczaj — powiada stare przysłowie. Typowym tego przykładem jest miasto Rio de Janeiro, stolica Brazylji. W mieście tem. odkąd sięga pamięć ludzka, panował osobliwy zwyczaj, Oto specjalni „tragarze" nosili na głowach puste trumny, spiesząc z niemi przez ulice miasta do domów żałoby, Specjalny ten zwyczaj był tak ściśle związany z Rio de Janeiro, iż każdy, znający to miasto, nie umiał wprost wyobrazić sobie jego widoku bez „nosicieli trumien". A jednak postęp ma swoje prawa. Oto z rozkazu władz nosiciele trumien zniknęli z ulic Rio de Janeiro. Szpital św. Miłosierdzia, który posiada w Rio de Janeiro koncesję na wszelkie pogrzeby, wydał zarządzenie, zabraniające noszenia na głowie trumien do domów, w których na pogrzeb oczekują nieboszczycy. W ten sposób miastu ubył rys charakterystyczny, który dawnemi czasy wprowadzał w zdumienie wszystkich przybyszów. Nosiciele trumien, mimo swą ponurą misję, wyglądali bardzo malowniczo. Na głowach ich znajdował się zwinięty dywan, a na nim spoczywała kołysząca się pusttrumna, na której czasami widniał nawet duży wieniec Również i w rękach nosili ci ludzie wieńce i kwiaty W dniach deszczowych cały swój „towar" przykrywali specjalnem płótnem. Zwyczaj noszenia trumien na głowach związany był ściśle z panującą wogóle w Rio de Janeiro metodą transportowania wszystkiego na głowie. Co krok spotyka się w tem mieście ludzi, uwijających się przez ulice z koszami jarzyn i owoców na głowie Nawet gdy chodzi o przeniesienie fortepianu z jednego domu do drugiego, wystarczają do tego celu czterej „tragarze", którzy również na głowach przenoszą i taki instrument. Kasując odwieczny zwyczaj, władze szpitalne kierowały się tem, iż ruch w mieście wzrasta coraz bardziej i że „trumniarze" musieli nieraz odbywać długą pielgrzymkę okrężnemi drogami, aby dotrzeć ze swym „towarem" do celu. Tu i ówdzie słyszeć się również dawały narzekania, iż człowiek najweselej nawet usposobiony, mimowoli wpada w nastrój melancholijny, gdy co chwilę spotyka się na ulicy z trumnami, noszonemi na głowach. Odtąd trumny rozwożone będą po mieście w specjalnych autach pogrzebowych. W każdym razie przez tę reformę Rio de Janeiro utraci jeden ze swoich charakterystycznych malowniczych rysów.

73-letni uczeń. Donoszą z Milwaukee (w Ameryce): Józef Jagodziński, który liczy 73 lat i mieszka w tym kraju 47 lat, chodzi obecnie do szkoły.

— Pragnę umieć czytać i pisać poprawnie po angielsku — powiedział Jagodziński. Przez trzy wieczory w tygodniu staruszek uczęszcza do szkoły wieczornej i tam pobiera lekcje angielskiego, pisania i czytania oraz rachunków. Chce być dobrym obywatelem i dlatego uczęszczać postanowił na stare lata do szkoły. Nietylko Jagodziński sam jest ze staruszków w tej szkole, są tam i inni, którzy już przeszło 60 lat liczą.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Burghardt Wilhelm z Woli Bar. 60 gr. dla Maćka. — Wojtaszek Marja Stróżna Bobowa 60 gr. dla Maćka na fajeczkę. — Drużga Jan z Komarówki k. Buczacza dla Maciusia na dramki 50 gr. — Irecki Józef z Ustronia dla Maćka 60 gr.

RZECZY CIEKAWE.

Walka z walkami byków.

Ostrą walkę prowadzi pewien odłam społeczeństwa hiszpańskiego z rozwielmożnionemi walkami byków. Wszystko jednak na próżno, zwolennicy „krwi na arenie" są równie liczni jak dawniej i równie rozfanatyzowani. Być może, następne pokolenie zaprawione w sportach, grze w piłce nożnej, zamiłowane w eskapadach napowietrznych i samochodowych, zobojętnieje nieco na emocje walki byków. Trudno zresztą przewidzieć; są prorocy, którzy przepowiadają triumfalny pochód „walki byków" po wszystkich krajach Europy i Ameryki.

W każdym razie charakterystycznem jest, iż w sezonie b. roku odbyło się w Hiszpanji ogółem 310 walk byków. Przodują: Madryt z 33 walkami, Barcelona 26 walk, Walencja 16 walk, Bilbao 11 walk (pomimo konkurencji najsilniejszego klubu piłkarskiego Hiszpanji) i Saragossa 10 walk. W innych miejscowościach odbyły się walki raz lub też kilkakrotnie. Wszystkie te walki to wielkie imprezy cyrkowe zorganizowane z całą pompą, poza tem w każdej wsi odbywały się prymitywne walki t. zw. „Capeas" pomimo zakazu policyjnego powszechnie uprawiane.

Charakterystycznem jest, iż równocześnie odbyło się 6 walk byków w Portugalji i 30 (!) w południowej Francji. Jak widać zatem, walki wyklinane jako zabytek barbarzyństwa, znajdują zwolenników w kulturalnej Francji, podobno bardziej fanatycznych niżli rodowici Hiszpanie.

Zagadkowe zabytki

Z pośród licznych zabytków z ubiegłego stulecia, wzbudzają od kilku lat żywe zainteresowanie dwie kolumny, stojące w parku majętności Manieczki, własności pp. Prus-Głowackich w pow. śremskim. Kolumny te, z pietyzmem konserwowane przez obecnych właścicieli stały się osnową ciekawej legendy, która żyje wśród ludu okolicznego.

W drugiej połowie XVIII wieku majętność Manieczki należała — zanim nabył ją gen. Wybicki — do Macieja Kołaczkowskiego. Zdarzyło się otóż, że Maciej Kołaczkowski zakochał się w pewnej pannie, która gorącem uczuciem darzyła jego brata. Na tle tej rywalizacji miłosnej przychodziło między braćmi do częstych sporów, póki obaj, zgodnie z wyobrażeniami swej epoki nie postanowili spór zakończyć pojedynkiem. Jak postanowili, tak uczynili. Z nabitemi pistoletami ustawili się za dworem po obu stronach ówczesnego traktu z Czempina do Śremu. Na komendę padły dwa strzały, i obaj bracia zginęli ugodzeni bratobójczą kulą. Pochowano ich na miejscu, każdego tam, gdzie dosięgnął go śmiertelny strzał, a nad zwłokami ich wybudowano kolumny na których umieszczono figury święte.

Tyle legenda, która jednak, jak tyle legend, nie została potwierdzona. Przy odnawianiu przed czterema laty, podczas którego kolumnom tym nadano dzisiejszy kształt ukośnie ściętego wałka, przeprowadzono pod ich fundamentami dość staranne badania, przyczem jednak żadnych szczątków ludzkich nie znaleziono. Zagadka pozostała nadal zgadką, jak to zresztą zaznacza także prof. Skałkowski w swej broszurce o Józefie Wybickim.

Koszt różnego oświetlenia.

Jest rzeczą wiadomą, że stare środki oświetlenia kosztują nas drożej od nowych, jeżeli chcemy osiągnąć jednakowe natężenie światła. Obliczono np. w Paryżu, że dla uzyskania natężenia świetlnego 1000 świec, których światło skoncentrowanoby bez straty na powierzchni jednego metra kwadratowego, trzebaby spalić w ciągu jednej godziny: za 12 franków czyli za 4 złote polskie, świec stearynowych, za 1 frank 20 centów (40 groszy) nafty lub wreszcie za 12 centów (4 grosze) elektryczności. Jak widać z powyższej kalkulacji, różnice kosztów tych trzech rodzajów oświetlenia są bardzo znaczne i wyrażają się stosunkiem 1:10:100. Co do gazu świetlnego, to jest on nieco droższy od elektryczności; jednak trudno określić ściśle ten stosunek, który zależy od składu, ciśnienia i kosztów produkcji gazu — innych w każdej miejscowości. Ponadto wydajność gazu świetlnego zależy w dużej mierze od dobroci koszulki żarzącej. Przy obliczaniu ceny za światło trzeba także uwzględnić koszta wyrobu knota, koszulki gazowej względnie żarówki oraz czas, potrzebny na utrzymanie źródła świetlnego w dobrym stanie i porządku.

Rekord miasta Chicago.

Urząd statystyczny miasta Chicago działa nader sprawnie i już obecnie znane są ważniejsze cyfry z roku ubiegłego, ilustrujące życie miasta. Najbardziej rekordową i wzbudzającą zrozumiałą sensację jest liczba morderstw w 1928 roku, sięgająca 479 wypadków. Podobną ilością zamordowanych ludzi nie może wykazać się żadne z miast amerykańskich, a tem mniej europejskich. Nawet policja samego miasta Chicago nigdy jeszcze tak wysokiej cyfry nie zanotowała. W uważanym za wyjątkowy, roku 1927, zamordowano tylko (!) 445 ludzi.

Nowe książki.

Robert Rydz: *„Grzeszna miłość"*. Sztuka ludowa ze śpiewami i tańcami, z muzyką Lecha Bursy. Nakładem A. Cybulskiego w Poznaniu. Coraz częściej zaczyna się zakorzeniać po naszych wioskach zwyczaj urządzania przedstawień teatralnych zwyczaj zresztą bardzo chwalebny. Młodzież bowiem, a i starsi zamiast iść do karczmy, albo spędzać czas bezużytecznie, idą na przedstawienie czy to do szkoły, czy do domu ludowego, gdzie nietylko przyjemnie przepędzą dwie do trzech godzin, ale i pewien pożytek odniosą. Niestety mało jest sztuk teatralnych, któreby się nadawały do odegrania na scenach wiejskich, a gdy nawet która z nich odpowiada warunkom swą treścią, to wymaga zbyt kosztownych dekoracyj i kostjumów. „Grzeszna miłość" omija jedno i drugie, a posiadając treść zajmującą i żywą, nadaje się do wykonania nawet na najskromniejszej scence. Czytelnikom naszym p. Robert Rydz dobrze jest znany ze ślicznych wierszyków, zamieszczanych w „Roli", to też z całą przyjemnością powitają nowy utwór utalentowanego poety, tembardziej że nadaje on się nietylko do przedstawień teatralnych, ale jest bardzo zajmujący i w czytaniu. W „Grzesznej miłości" przedstawia bowiem autor historję młodej pary: ona mężatka, on kawaler; na przeszkodzie stoi im stary mąż. Umierać nie chce, więc usuwają go przemocą. Ale każda zbrodnia musi być ukarana, to też i tu młodzi nie łączą się ze sobą, gdyż zbrodniarz, dręczony wyrzutami sumienia, uchodzi w świat daleki, ona zostaje podwójną wdową: po mężu i po ukochanym. Ilustracja muzyczna L. Bursy dopełnia dramatu, jest ona jednak trochę za trudna dla scen amatorskich.

A. St. B.

Wojciech Byczek: *„Zamek Odrzykoński"*. Nakładem J. Pelczara i Ski. Znany naszym Czytelnikom ze swych utworów młody poeta ludowy, Wojciech Byczek, który w zeszłym roku wydał tomik pięknych poezyj, ogłosił ostatnio historję Zamku Odrzykońskiego prozą. W niewielkiej książeczce podaje on dzieje tego Zamku od jego

powstania aż po czasy obecne. Rzecz napisana przystępnie, pięknym stylem, przykuwa uwagę czytelnika od początku do końca. Niezawodnie każdy, kto będzie miał zamiar zwiedzić te historyczne ruiny, zaopatrzy się poprzednio w książeczkę p. Byczka. *A. St. B'*

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Władysław Bienias** w R.: Zamieścimy w następnym numerze. — **Leon Kmita** w L.: Za I kwartał zapłacono 3.40, za II 2.30 zł. Zagadki dobre. — **Józef Pituła** w B.: Szkoda, że tak późno Pan przysłał notatkę, gdyż bylibyśmy chętnie zamieścili. Gdy coś ciekawego się zdarzy, należy to zaraz opisać, a chętnie wydrukujemy. — **Józef Frasik** w K.: Wierszyki zupełnie dobre. — **Jan Śliwka** w U. S.: Kalendarz ma w domu prawie każdy z Czytelników, więc drukowanie kalendarzyka tygodniowego w „Roli" uważamy za zbyteczne. — **Józef Romanowski** w T.: Logogryf dobry — zagadki znane. —**Rusnak** w M. D.: Wierszy nadchodzi do Redakcji po kilkanaście tygodniowo, a my drukujemy zaledwie dwa lub trzy, większość więc z nich, nawet b. dobrych, spoczywa w teczce, czekając lepszych czasów. — **Piotr Wenc** w Ś.: Żądane czeki wysłaliśmy. Na takiego geometrę trzeba wnieść skargę do województwa (stempel za 3 złote), a skutek odnieść musi. — **Wincenty Spodnik** w Sz.: Numera prosimy odesłać nam. — **Wojciech Byczek** w K.: Mamy wiadomość, że tak źle nie jest jak Pan pisze. Maciek też chce żyć i dalej gadać. Recenzja w numerze. — **Apolinary Molik** w Sz.: Winę za te stosunki ponoszą posłowie, których większość całe pięciolecie posłowania poświęcała spekulacji jakby się stać bogaczem co się im też udawało za pośrednictwem polityki. Cieszy nas wiadomość, że dzieci tak wyczekują „Roli" i chętnie ją czytają. Numera z drugiego kwartału 1927 wraz z czekami posłaliśmy. — **Andrzej Czuchnowski** w Sz.: Można i ołówkiem pisać, jeżeli wyraźne pismo i ołówek nie jest twardy. Numer z czekiem wysłaliśmy — dziękujemy. — **„Orlica":** Za nadesłaną fotografję dziękujemy. Jaka słodziutka w piśmie taka i na fotografji. Jak tylko nam ilość prenumeratorów dopisze to będziemy się starali jeszcze lepszą „Rolę" wydawać, tylko prosimy o nas nie zapominać i od czasu do czasu coś przysłać. Może być i coś dłuższego. Za uznanie dziękujemy i wzajemnie serdecznie pozdrawiamy. —**Władysław Kramarski** z G.: Za dotychczasową przysługę serdeczne dzięki i prosimy nadal. Cześć! — **Józef Michalik** z P.: Dziękujemy za pamięć. — **Wojciech Habas** w W.: Przez urząd pocztowy w Krakowie zapytamy się co urząd poczt. w Warszawie robi z „Rolą" dla Pana regularnie od N. Roku wysyłaną. Jest rzeczą ubolewania godną, że dwa numera „Roli" z czekiem w grudniu Panu doręczyli, a dalej „kamień woda"! — **Jan Nowakowski** w D.: Dziękujemy i my też życzymy „Szczęść Boże!" — **Franciszek Macioł** w S. B.: Prosimy przysłać Nr. 1 jaki jest. Znajdą się tacy, którzy i taki wezmą, bo żadnego nie mają. — **Jan Miciński** w Z.: Roczników z r. 1928 mamy bardzo mało i wkrótce się wyczerpią.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 30 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Fr. Macioł S. B.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ Część twarzy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Nazwisko franc. pisarza.
■ ☆ ☆ ☆ Zwierzę dzikie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Używane w zimie wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ Trunek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Jest w obrazie.
■ ☆ ☆ ☆ Dawny pieniądz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Planeta.
■ ☆ ☆ ☆ Przyrząd sportowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Noszą w zimie.
■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie, wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Bywa w modlitwie, wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ Ciężarki do ważenia.

Litery początkowe czytane z góry dadzą imię i nazwisko, powieściopisarza, którego powieść czytamy w „Roli".

2. Szarada.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

I.

Pierwsze drugie bez końcówki dane,
Zwierzę dzikie dobrze Wam już znane,
Pół trzeciej i pierwsza — zaraz się do- [wiecie,
Jeno wszystkie zwierzęta w domu poli- [czycie
Czwartej wspak, zgłoski mało używacie,
Ale wprost czwarta, to z pewnością macie.
Całość — jeżeli zgadniecie powoli
To będzie nazwisko Czytelnika „Roli".

II.

Kto pierwszy, drugi, trzeci i pół czwartego [posiada
Z tego jest bohater nielada,
I czwarty cnotliwy jego życia.
Pięknie przykładem innym przyświeca.
Nie zasłuży na szóstą drugą — chyba na [chwałę.
Z drugiego szóstego mięsko jest wspa- [niałe
A zaś artyści, gdy wystąpić mają,
Na scenę, to całość najpierw odrabiają.

III.

Ktoś do drzwi pierwsze trzecie,
Idź otwórz, Marylko!
Co za głupia, wspak druga i trzecie?
W całą nietylko
Mysz, lecz człowiek wpadnie też.

IV.

(Ułożył Jan Gara z W.).

Pierwsze pół czwartego zwycięstwo w grze [znaczy,
Trzecia, czwarta kres biegu tłumaczy,
Gdy czwarte i piąte chętnie kupujemy
Przez czwarte i pierwsze bieg wód kierujemy
Pierwsze, drugie trzecie i pół czwartego
Wyłoni z siebie proroka wielkiego.
Całość to naród wielki, lecz nie naszej wiary
Innemu Bogu składa serc swoich ofiary.

3. Zagadki.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

I.

Wprost to trunek wszystkim znany,
Wspak zaś utwór budowlany.

II.

Wprost to las,
Wspak rozkaz.

III.

Wprost to miły ptak,
A płyn słodki wspak.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

				Drzewo.
				Lotnik.
				Ogród.
				Okręt

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1 lutego

Znaczenie zagadek z Nru 2 „Roli": 1. Logogryf: Henryk Sienkiewicz. — Organista z Ponikły. 2. Szarady: I. Kurtyna, II. Smakołyki, III. Maraton, IV. Szarada, V. Lecznica. 3. Układanki: Polowanie, Jaszczurowa, mleko, obraz, Konarski.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Gara z W., Karol Słowik z D., Michał Miazga z N., Jan Nalepa z K. i Wojciech Dyląg z N.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Nalepa z K. i Karol Słowik z D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W sądzie.

— Rozbiliście garnek na głowie swego męża, jest to czyn, którego z pewnością żałujecie?

— Oh tak, panie sędzio. Szkoda garnka, dałam za niego jednego złotego.



Dobra odpowiedź.

Pan do służącego: — Albo ty jesteś warjatem, albo ja?

Służący: — Pewnie Jaśnie Pan nie byłby zgodził sobie warjata za służącego!

Zwalczanie alkoholu.

Policjant (do pijanego, który słania się na ulicy: — Co pan tu robi?

Pijany: — Walczę z alkoholem!

Mnemotechnika.

— Co oznacza ten znak na ścianie?

— Ten znak? Ma przypomnieć mej żonie, aby mnie zapytała, czy nie zapomniałem tego, co mi przypomniała.



Uświadomieni.

W oknie wystawowem składu zabawek wystawiono wielkiego bociana. Pewna mamusia pokazuje go swej córeczce.

— Patrz, taki sam bocian przyniósł ciebie.

Stojący obok uczniak mówi do swego kolegi.

— Taka dorosła kobieta powinna chyba już być uświadomiona.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 18 stycznia b. r.

Pszenica .	45·50—46·00	Słoma długa	11·00—13·00
Żyto .	35·50—36·00	Ziemniaki stoł.	7·50— 8·00
Owies . .	35·00—36·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	31·00—32·00	sienn. czer.	000·00—000·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	50·00—51·00
Groch zwyk.	58·00—62·00	Mąka pszen.	73·00—74·00
Siano słodk.	25·00—26·00	Otręby pszen.	26·50—27·00
Łubin żółty	29·50—30·50	Otręby żytnie	26·50—27·00
Koniczpastew.	35·00—36·00	Mąka czerw.	31·00—32·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 18 stycznia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·14 do 1·60 zł.	Jałownik	od 1·10 do 1·58 zł.
Woły . .	od 1·18 do 1·60 zł.	Cielęta .	od 1·42 do 2·12 zł.
Krowy .	od 0·73 do 1·50 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·95 do 2·35 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·20 do 2.90

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.